



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ŚWIĘCI DNI OSTATNICH.

Komu było trudno zrozumieć słowa poety:— Na jednego człowieka dwóch aniołów trzeba!.. pojmie je teraz i wytłómaczy sobie, czytając w dziennikach angielskich opisy bohaterskich czynów dwojga ludzi: Ojca Damiana, misjonarza, i Róży Gertrudy, siostry miłosierdzia, poświęcających się ratowaniu, zbawianiu, pocieszaniu nieszczęśliwych, dotkniętych chorobą straszną, jak kłatwa boża—zarazą trądu. I trzeba im było dla tego celu rzucić kraj ojczysty, Europę, trzeba im było popłynąć na Ocean Spokojny: na wyspy Hawaj, czyli Sandwich i tam zamknąć się z nieszczęśliwymi na najokrutniejszej ziemi wygnania, na wysepce Molokai, stanowiącej kolonią—więzienie ofiar, wypędzanych tam bezlitośnie, skoro oznaki tej najstraszniejszej choroby objawiają się na ich ciele.

Według kolei czasów i czynów już dokonanych, występuje tu najpierw ojciec Damian, a raczej Józef Damian de Vester, Belgijczyk, urodzony w r. 1841 w okolicy Lovanium, w wiosce Tremoloo, z dostatniej rodziny ziemiańskiej. Matka była gorąco pobożną i przelała w pierś dzieci uczucia swoje. Już brat starszy był księdzem, zakonnikiem w klasztorze *Serca Jezusa i Maryi*—w klasztorze misjonarzy w Lovanium, i gdy brat młodszy pojechał tam z rodzicami odwiedzić go, życie zakonnika tej reguły pociągnęło go nagle do siebie i już nie chciał powrócić do domu. Miał wtedy rok dwudziesty, skończył nauki—świat, życie stało przed nim otworem, a był dorodnym, silnym, wysokim młodzieńcem, ale pierś kryła w sobie uczucia, pragnienia idealne i ujrzał teraz przed

sobą drogę ujęcia dla porywów, wznoszących mu łono. W r. 1863, to jest, gdy miał lat dwadzieścia dwa i nie wykonał jeszcze ostatnich ślubów kapłańskich, wziął dopiero święcenie mniejsze, brat starszy, Pamfil, otrzymał wezwanie, aby ujął kostur apostolski—wyruszył na missye. Ale chory był, chory mocno, i młodszy objawił żądanie zastąpienia go. Matka przecież lękała się dlań niebezpieczeństw, które się z tem łączyły, ale młodzieniec był odważny: puścił się w drogę za bratem, i dopiero na miejscu przeznaczenia, w Honolulu, przyjął śluby ostateczne—został księdzem. O. Damian w podróży po rozrzuconych wysepkach, gdzie rozniósł słowo Ewangelii, spotkał się z okrutną klęską tych miejsc—z chorobą trądu: ze straszną, wstrętną chorobą, która pożera aż do kości ciało człowieka, oblicze jego przemienia w maskę okropną i razem tworzy z istoty ludzkiej jeden słup boleści. Rząd hawajski, chcąc przeciąć szerzenie się tej strasznej choroby, działającej okrutnie w klimacie tamtejszym, nakazał wywożenie nieszczęśliwych, których dotknęła, na jedną z wyseppek—na niezaludnioną jeszcze wysepkę Molokai, gdzie pobudowano dla nich jedynie nieco bud nędznych i wywożono tam, odrywając od wszelkich stosunków ze światem, z rodzinami, puszczając na swobodę okrutną, wśród której nieszczęśliwi przemieniali się wkrótce w dzikie zwierzęta.

Bez żadnej pociechy, bez żadnej od nikogo i z nikąd pomocy, ulgi w cierpieniach swych strasznych, wytworzyliż miejsca swego pobytu piekło. Jako jedyny środek, łagodzący ich położenie straszne, przedstawili sobie możliwość choć chwilowego zapomnienia okrutnej rzeczywistości. Poczęto wyrabiać z rośliny *Ki* wyskok słodki i mocny, nie bacząc na to, że cierpienia strasznej choroby wzmogą się potem silniej, upijano się, a wtedy działy się tam sceny straszniejsze, niż wśród potępionych w widzeniu Danta, bo po szalach pijactwa przychodziły szaly cierpienia, i jęczące, ryczące rzesze błądziły po wyspie, jak dzikie

zwierzęta. Trzeba dodać, że żywność i wszelkie potrzeby życia nieszczęśliwi ci musieli zdobywać sobie przemysłem własnym, co stawało się rzeczą coraz trudniejszą, w miarę, jak liczba wygnanców wzrastała. Było ich 1.000 osób: mężczyzn, kobiet, starych, młodych, gdy w 1873 r. ojciec Damian przybył tam raz pierwszy z biskupem swoim, aby nieść nędzarzom tym nieszczęśliwym pomoc duchową.

Gdy statek, wiozący kapłanów, przybił do brzegu, cała ludność wyspy zbiegła się tam, jak zwykle w podobnych razach, upatrując: kogo przywożą? Gdy to był kto z drogich tu komus: ojciec, matka, lub mąż, żona, brat, siostra,—działy się wtedy rzeczy rozdzierające—sceny rozpacz, żalu, wybuchy uczucia na widok ukochanych, których przecież, chełanoby nie oglądać, i ojciec Damian, ujrawszy ten obraz, został tak tkniętym w serce, że postanowił pozostać z nieszczęśliwymi. Miał wtedy lat 33, był silny, zdrowie miał mocne, jak rzadko, i powiedział sobie, że tu jest pole dla jego działań miłości bliźniego — ścieżka jego obowiązku.

I stanął do pracy swej świętej, jak robotnik dobry. Klimat wyspy jest bardzo łagodny, ziemia urodzajna, roślinność niezmiernie bogata i praca mogła tu wnieść przynajmniej dobrobyt fizyczny. Najpierw wyprawił się ten bohater miłosierdzia na poszukiwanie źródeł w okolicach górzystych; odkrył ich kilka i skłonił ludność biedną do kopania studzien. Potem pracować zaczął nad uprawą gruntu, lecz nie tego tylko, który zapewnia chleb ustom głodnym. Aby człowiek, zwłaszcza nieszczęśliwy, nie dziczał, trzeba mu pociech, których — jak mówi Asnyk — nie da życie: „trzeba anielskich uśmiechów w błękitie, trzeba litosnej nad światem opieki: trzeba miłości wiecznej, choć dalekiej“... i ojciec Damian pozyskanie dla tych biedaków tego stanu ducha uczynił tak pilnem zadaniem swoim, jak podniesienie ich nad nędzę materialną. Jedno wspomagało

drugie. Nadzieja niebieska podnosiła nad rozpacz ziemską; rozbudzone uczucie obowiązku, pracy dla bliźnich, dodawało siły, gdy praca na własny użytek już nie miała mocy pociągać do tego. Zaczęto stawiać domy mieszkalne, dla których on kreślił plany i miejsca wyznaczał, zakładano ogrody, a on tak kierował robotami, że odpowiedziały wszystkim potrzebom nieszczęśliwej ludności. Rząd hawajski wspomagał ten ruch; przysyłał wygnańcom wszystko, czego ojciec Damian zażądał, i cały obraz życia tu pędzonego zmienił się cudownie: wyspa zakwitła dobrobytem i nie tylko materyalnym. Muzyka, śpiewy choralne, zostały rozpowszechnione, z zaniedbano niczego, co może cierpienie łagodzić — co może nad cierpienie podnosić.

Zdrowsi z pomiędzy nieszczęśliwych — jeszcze nie strawieni chorobą, utworzyli pod jego kierunkiem i nadzorem straży sanitarną: dozorowano, opatrywano tkliwie biedaków, którzy już o własnej sile radzić sobie nie mogli. Pocięcha religijna podniecała lepiej, niż upojenie trunkiem *Ki*, którego wyrób został zabroniony i zaniechany. Przez podróżników angielskich, którzy przybywali nierzadko do Honolulu — stolicy hawajskiego państwa, doszły też wkrótce do Europy wieści o świętobliwym kapłanie, który stał się dobroczyńcą tysięcy istot, skazanych na katusze cierpienia niewypowiedzianych i niemających dla siebie pociechy żadnej, bo niemających nadziei! Ograniczenia wyznaniowe zniknęły wobec uczuć ludzkości, wzbudzonych opisami czynów ojca Damiana, i oto kapłan anglikański zapragnął stać się do pomocy temu świętobliwemu. Proboszcz jednej z parafii Londynu, rektor Chapman, odezwał się z kazalnicy swego kościoła o poparcie miłosiernych jego usiłowań, jego prac ofiarnych, i składki posypały się hojnie. Złożono w bardzo krótkim czasie 650 funtów (16.250 fr.), które Chapman przesłał zaraz do Molokai, lecz rozbudzony interes, wzruszone uczucie ludzkości, nie przestało na tem. Kardynał Manning stowarzyszył się z Chapmanem i większe — wielkie ofiary nadsyłał ojcu Damianowi z Europy. Trzy siostry miłosierdzia i dwóch braci z tegosamego co on zakonu, *Serca Jezusa i Maryi*, pośpieszyli mu do pomocy. Już tu zastano dwa kościołki wzniesione rękami nieszczęśliwej ludności wyspy na jej dwóch krańcach; te pociechy „jakich nie da życie“, przyszły zlewać swój balsam na rany biedaków. Malarz angielski Edward Clifford, zwiedzając wyspę, której wspaniała naturę portretował w Listopadzie 1888 r., przesłał do Europy list z opisem cudów, których ojciec Damian dokonywał — cudów takiego podźwignięcia na duchu człowieka, skazanego na los najcięższy — na wyrok zagłady bez żadnej nadziei skutecznego ratunku, że ten nieszczęsny skazaniec znosi swój los mężnie i umie cierpieć spokojnie. Clifford jest wyznania anglikańskiego: podniosła mu się też w piersi zazdrość pewna w kierunku szlachetnego współdziałania na tej drodze miłosierdzia chrześcijańskiego i uczynił współziomkom swoim zarzut: dlaczego znajdują się oni na wyspach hawajskich — tylko jako kupcy, jako handlarze? Ojciec Damian był już tam wtedy, jako męczennik dogorywający.

Pracował on lat dziesięć wśród nieszczęśliwych, którym poświęcił życie, opierając się zarazie niemal cudownie, ale doświadczenie to przyszło w końcu na niego. Razu jednego doktor miejscowy objawił mu ze wzruszeniem, że spełniła się ta rzecz okrutna — że jest już dotkniętym zarazą trądu. Było to porankiem w czasie codziennej wizyty lekarza, odbywanej u chorych wraz z ojcem Damianem. — Wiedziałem, że koniecznie przyjdzie to mi kiedyś — odparł spokojnie mąż ten święty. Oddawna też przygotowany jestem na usłyszenie tego, coś mi dziś, doktorze, powiedział. Jest to wola Boska.

I nie zachwiał się w pracy swojej, póki sił starczyło; myśl jego nie odbiegła ani na chwilę od dzieła, któremu się wydał na ofiarę. Nabożeństwo odbywało się w kościele zawsze z tą samą uroczystością; zawsze był zajęty tkliwie, aby życie nieszczęśliwych, między którymi był teraz współofiara, spotykało się z podnoszącymi wpływami. Clifford opisuje z uwielbieniem troskli-

wość jego w tym kierunku: przedstawienia czarodziejskiej latarni, ukazujące biednym sceny z życia i cudów Chrystusowych.

Gdy Clifford wyjeżdżał, był on już bardzo chory. Piętnaście lat doświadczenia nie dały mu się ludzi ani na chwilę, że wyleczonym być może. Przybył do pomocy braci zakonnych i siostry miłosierdzia uczył na sobie, jakie są oznaki, jaki bywa przebieg choroby.

W połowie Marca 1889 r. pisał do przyjaciela: — „Idę powoli drogą krzyżową i wkrótce stanę u szczytu Gólgoty mojej“. Dnia 30 Marca gotował się na śmierć według nakazów kościoła katolickiego przez odbycie spowiedzi. Ręce mu już czerniały, rany zabliźniały się, a on wiedział, że są to oznaki zbliżającego się końca. Wyjątkowo silny organizm pozwolił mu żyć i męczyć się tak długo. Umarł d. 15 Kwietnia 1889 roku, a dziękując Bogu, że dzieło jego jest zdane ręką, które potrafi je utrzymać, rzekł: — Teraz mogę powiedzieć: *Nunc dimittis...* Mogę odejść...

Pochowano go pod tem drzewem, pod którym, przybywszy na wyspę, sypiał.

Zasługi jego zyskały sobie taką cześć u ludzi, że akty uznania jej nie ograniczyły się do koła jego współziomków, do koła jego współwyznawców religijnych. Wzniesieniem pomnika, któryby uwiecznił pamięć tego bohatera ludzkości, zajęto się w Anglii. Książę Walii stanął na czele komitetu i postawił wniosek, że jakkolwiek instytucja, jakiegokolwiek dzieła pamięć jego między ludźmi przechowa, trzeba najpierw — trzeba nieodwołalnie, aby pomnik, będący widomym wyrazem czci jego zasług, stanął na miejscu, gdzie pracował i cierpiał — w Molokai.

Ale pamięć ludzi bohaterskiej cnoty — pamięć ludzi wielkiego serca inaczej się uwiecznia. Duch ich wstępuje w inne piersi ludzkie drogą wzruszenia, które widok ich dzieł budzi i zapala się tam owa boska iskra natchnienia do rzeczy świętych, do rzeczy dobrych, siłą przykładu wykrzesana. To jest jakoby apostołskie rąk na głowach ludzkich kładzenie: apostołskie przekazywanie ducha swego — filiacja cnoty, która i tu już wywołała swój skutek. Mąż boży już ma następcę po sobie na tron ofiary i poświęcenia, a jest nią kobieta — młoda, dwudziestokilkuletnia panna, siostra Róża Gertruda, inaczej Amy Fowler, córka anglikańskiego księdza, urodzona w wiosce Combe Down w pobliżu miasta Bath. Żywość umysłu i wyższe jego zdolności objawiły się w niej młodo; młodo opuściła dom rodzicielski aby pracować na chleb, udała się do Londynu, gdzie pełniła obowiązki sekretarza przy jednym z literatów, krytyku sztuki. Ale życie to nie odpowiadało jej usposobieniu. Wyjechała do Paryża, gdzie uczyla się robienia wzorów do czcionek i tam-to przeszła na katolicyzm. Miała wtedy lat dwadzieścia, a serce jej było gorąco przejęte miłością bliźniego, pragnieniem kojenia cierpienia ludzkiego i zapragnęła zostać siostrą miłosierdzia; została nią.

Wtedy to poznała się w szpitalach paryżskich z okrutną chorobą trądu i z kolei poznała dzieje tej przerażającej plagi: dowiedziała się o wyspie Molokai, o ojcu Damianie i poświęceniu jego święcie bohaterskim, które podniosło wzruszeniem gorącym pierś jej młodą. Obok wielkiego serca, umysł młodej zakonnicy jest niepospolitym: zwróciła się też siostra Gertruda do nauki, aby jej odkryła zagadkę tej przerażającej choroby — zwróciła się do Pasteur'a, pod którego kierunkiem studyowała lat parę i przygotowana do swego dzieła, najpierw przez gorące uczucie miłości bliźniego, potem przez zasób odpowiedniej wiedzy, puściła się w drogę poświęcenia.

Przybyła najpierw do Anglii, do rodziców, aby wziąć ich błogosławieństwo i pożegnać zapewne nazawsze, bo z Molokai nie wraca się już do życia pomiędzy ludźmi. Z początkiem bieżącego roku, d. 18 Stycznia, opuściła ojczyznę, aby przez Amerykę dostać się do miejsca przeznaczenia. W Nowym Yorku zatrzymała się, chcąc zobaczyć się z bratem, przebywającym w Ameryce — zobaczyć się i pożegnać tak jak z rodzicami: narozstanie ostatnie. Książę Walii powitał ją tam telegramem podmorskim i kiedy go odebrała, w oczach

stanęły jej łzy: — Echo z ojczyzny... rzekła do brata.

Pisma angielskie podające jej portret, przedstawiają ją już w sukni siostry miłosierdzia: w białym welonie, który pokrywa głowę i spięty na piersiach, otacza twarz młodą z wyrazem poważnym i spokojnym, z wyrazem malującym szczególniejszą łagodność i prostotę. Ma ona być matroną, zarządzającą posługą niewieściami w zakładzie ufundowanym przez ojca Damiana na owej wyspie boleści i ofiary, na Molokai, w miejscowości stołecznej Kalavas. Mieć tam będzie w pobliżu dom jej oddany, dość obszerny, aby mieszcili się w nim aspirantki poświęcenia: z kobiet krajowych tworzący się zastęp siostr miłosierdzia. Znajduje się tam już kilka Sióstr reguły S-go Franciszka, Amerykanek. Róża Gertruda będzie ich przełożoną. Pensya, przyznana jej osobiście, przez rząd hawajski, jest znaczną; ona przecież między pierwszymi warunkami układu zastrzegła to sobie, aby grosz ten szedł w całości na zwiększenie wygód nieszczęśliwych względem których staje ona jak anioł miłosierdzia: anioł poświęcenia i ofiary.

M. Ilnicka.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA

(Dalszy ciąg).

Znajemski, przyzwyczajony do scenicznej gestykulacji podczas śpiewu, grał swoją rolę, zapomniawszy, że zamiast helmu, trzyma w rękach swój stary cylinder, a zamiast kostiumu rzymskiego rycerza, ma tylko wytarty frak na sobie, który nawet w czerwonym oświetleniu budoaru wydawał się znośnym i wymiętym.

Kiedy wyrывая się niby z objęć kochanki, posłuszny bojowej surmie, co go na pole walki przyzywała, Belizaryusz przerywał rzewną aryą błagalnym zaklęciem:

— *Lascia mi!.. lascia mi!.. per la patria morire!..* po czerwonej, nabrzmiałej od wysiłku twarzy, spływały mu łzy i krople potu, głos drżał ze wzruszenia; dyszał ciężko i z zamkniętymi oczyma, z głową pochyloną, przyklepnął na jedno kolano, przyciskając rąbek atłasowej sukni Halkiewiczowej do ust, zupełnie jak podczas akcji na scenie.

Miłosny duet miał się ku końcowi, gdy nagle suchy, nerwowy, spazmatyczny kaszel przerwał śpiew primadonny i zdławił forsowny tryl, który rozpoczęła właśnie przy ostatnim: *Addio!..*

— Wody, prędko — wody z cukrem! — zawołał Bellini, z trudnością powstając z ziemi — *subito!..* to nie, to zaraz przejdzie!.. ja to znam.

Rzucili się wszyscy do kaszłającej z pomocą, Wila przerażona, wybiegła do sąsiedniego pokoju, Tonio filizankę z herbatą przytykał do ust „mateczki“, a Znajemski, zdzierając z rąk pęknięte rękawiczki, nie ochłoniwszy jeszcze sam z wrażenia duetu, tak fatalnie zakończono, z wielką troskliwością i współczuciem dawał rady zanoszącej się od kaszlu kolleżance:

— Nie spuszczać głowy tak nisko... wstrzymać oddech na chwilę. Spróbuj pani przekłnąć trochę herbaty... Cukierki!.. *voilà!..* dać jej pomadkę do ust, to łagodzi. No, jakżeż?.. lepiej pani?.. *Dieu!*

— Ja miałem taki przypadek raz na scenie, musiałem wejść za kulisy, formalnie dusiłem się, oczy mi już na wierzch wylazły; to nerwowe, znam to.

Paroxyzm przechodził, woda z cukrem usmierzyla resztki kaszlu.

Bellini zrobił twarz smętną, sposepniał, odwrócił się do Fatta i biorąc go pod ramię, szepnął mu do ucha:

— Biedna kobieta, cała karyera już *perdu*; to chroniczne. Nie chciałem jej martwić, ale *finita la comedia*. A szkoda!.. *elle avait le diable au corps*. Słyszalesz pan dobrodziej, jak ona to dobrze śpiewała?.. To stara szkoła, nasza szkoła!—dodał z dumą i naciskiem, i jeszcze raz, spojrzawszy z widocznym politowaniem na Halkiewiczową, powtórzył:

— Szkoda!..

Potem jakby się spostrzegł na zbytnej poufałości ze swoim nowym znajomym, cofnął szybko rękę z pod jego ramienia ze słowami:

— O, pardon!..

Przegarnął szpakowate, rzadkie włosy, powichrzone nad czołem podczas żywej gestykulacji w duecie i poszedł nalać sobie kieliszek Charteusy.

Zanim go wychylił, stał kilka chwil przy trójnogu, z ustami wydetem, z głową na bok przechyloną, jakby doszukiwał w myślach jakieś przykre reflexy, które mu czoło zachmurzyły, odsapnął potem ciężko i szybko, jednym haustem pokłnął zielonawy likier z wprawą starego bibosza.

Tonio z Wilą namawiali Halkiewiczową, aby poszła trochę wypocząć.

— Połóż się pani na szeslongu w drugim pokoju—radziła jej Suckowska.

Primadonna bronila się i opierała:

— Dajcie mi pokój!.. cóż to, ja jestem chora, czy co?.. Mogłabym z Bellinim zacząć zaraz drugi duet z kolei, Raula i Walentyny. Chcecie?.. Śpiewałam w życiu pięćdziesiąt sześć oper, moja droga!.. która z was ma taki repertuar!..

Mówiła to, ozywając się uludnie, z udaną swobodą, ale w głosie zmatowanym czuć było chrypkę. Pochrząkiwała, popijając wodę z cukrem i uśmiechając się dla zatarcia wrażenia, jakie sprawiła swoim gwałtownym kaszlem.

Tonio odzyskał swój dobry humor i nawiązał ogólną rozmowę, w której Znajemski wiodł rej, syjąc jak z rękawa anegdotkami ze świata artystycznego, opowiadaniem swoich przygód i wspomnień z trzydziestoletniej kariery bohatera skomponowanego; przesłuchiwał z Madrytu jednym skokiem do Rio Janeiro, z Suezu do Lizbony, mieszał ludzi, nazwiska, daty, starał się imponować z przyzwyczajenia swoim słuchaczom tryumfami, jakie odnosił na obu półkulach, znajomością, które miał we wszystkich sferach, przyjaciółmi, których zostawił po świecie.

W tę porwaną narrację wplatał wykrzykniki zachwytu nad sztuką, techniczne uwagi o śpiewie, wycieczki, przeciw niesumiennej krytyce i zbławotnianiu dzisiejszej publiczności, komplementa dla Wili, którą nazywał swoją najlepszą uczennicą i napomnienia dla Tonio, który podrzywał z jego zapału i dość sceptycznie słuchał przechwałek o brataniu się tenora z wszystkimi książętami i znakomitościami Europy.

— *Tais-toi*, Tonio!—odeinał mu się stary śpiewak—dla ciebie niema nic świętego... Wstyd!.. zgroza!.. ja w twoim wieku Rubiniego na kłęczkach słuchałem. Żaden archanioł, co prawda, nie miał takiego głosu. Ja jeden, co przejąłem jego metodę, ale skorzystałem z niej szerzej, bo on śpiewał tylko w operze, a ja należałem do najlepszych śpiewaków estradowych swego czasu. Opera!.. coż to jest opera?.. opera, to nie poważna muzyka, to małpiarstwo!.. Dziwi was, że ja to mówię, prawda?.. ale mi wiercie, dobrego śpiewaka poznać dopiero w pieśni, w oratorjum, w Haendlu, w Schumanie, w Schubercie, w Mendelsonie!.. tak, tak... *sé, sé!*..

Zaczął właśnie rozwodzić się szeroko nad muzyką czystą, wielką, którą nazywał „świętą mową serc ludzkich“, zrozumiałą, nietylko wszystkim ludziom, ale nawet berozumnym zwierzętom, kiedy w połowie jego tyrady, stanęła we drzwiach Józia i spytała głośno:

— Proszę pani, podawać już do kolacyi?..

To zapytanie nadało nagły zwrot całej rozmowie.

Wila, która, siedząc obok Karola, przez cały czas niby przypadkiem muskała swym utoczonym łokciem jego rękę, opartą na poręczu kozetki,

zerwała się szybkim ruchem spłoszonej łasicy i z wyrachowaną kokieterią zarzuciła ramiona poufale na szyję Znajemskiemu ze słowami:

— Ślicznie mówisz mój *maestro*, ale przy stole lepiej cię słuchać będziemy. Tymczasem masz całusa, zanim dostaniesz zakąskę!..

Dotknęła go z lekka ustami w czoło i poskoczyła na środek budoaru.

— Panowie, kto mnie kocha i kto głodny — za mną!..

Tonio ze Znajemskim pobiegli za nią do drugiego pokoju, Karol podał ceremonialnie ramię Halkiewiczowej.

Dosyć ciasny pokój stołowy oświetlała chińska lampa, zawieszona od sufitu nad okrągłym stołem, i kilka świec z malutkimi abażurami w platerowanych kandelabrach, po których świeżym połysku poznać można było, że stanowią całkiem nowy nabytek w domu.

Zapowiedziana szumnie kolacja, miała, jak wszystko w tym domu, połowiczny charakter wystawności i pospolitości. Na fajansowym talerzu śledzie z oliwą i kaparami stanowiły zakąskę po wódce, nalewanej z butelki czworograniastej, nie otartej z kurzu, jaki osiadł na niej w narożnym składzie „wódki i likworów“; majonez z olbrzymiego sandacza, suto garniowany, na długim półmisku pochodził widocznie z pierwszorzędnej restauracji, kotlety cielece z sałatą kartoflową i groszkiem, duże niedosmażone naleźykie, niekształtne, świadczyły smakiem i wyglądem o gospodarskiej kuchni mamy Suckowskiej, zaś kremu śmietankowego z konfiturami dostarczyła pobliska cukiernia na własnej paterze z grawerowaną firmą.

Miało to wszystko cechę kolacyi zastawionej w restauracyjnym gabinecie, z przydatkiem mieszczkańskiej gościnności.

Bellini, jakgdyby nigdy nie jadł frykasów przy książęcych stołach, sprzątał ze smakiem podwójne porce ze swego talerza, chociaż wymawiał się od dobierania i zastrzegał, że tylko wyjątkowo jada tak dużo.

Tonio udawał, że jest głodny, jak cztery wilki, Halkiewiczowa nabierała wszystkiego, ale skosztowała zaledwie każdej potrawy; przez gardło jej jakoś nie przejść nie chciało, oprócz wina z wodą sodową.

Karolowi sama Wila nakładała na talerz najlepsze kaski i dzieliła się z nim swoją porcją na dowód szczególniejszych względów; trącała się z nim swoim kieliszkiem, gdy inni tego nie uważali, z jakimś tajemniczym a wymownym spojrzeniem, i kilka razy pod stołem uszczypnęła go w rękę.

Pod koniec zjawił się najmniej spodziewany szampan na stole.

— Ależ to zbyt!.. to formalna uczta!—wołał Znajemski tonem zgorszenia i podziwu zarazem. — Nie, ja nie piję!—zastrzegał się, ale kieliszka swego nie uchylił i pozwolił Józii wypełnić go po sam brzeg.

— Wypijesz *maestro*, wypijesz!

— Chyba za zdrowie naszej gwiazdy!..

— O, nie, pierwszy toast do mnie należy, — przerwała mu żywo Wila — za zdrowie moich najlepszych przyjaciół!..

Zwróciła się tu wyłącznie do Karola, który poczuł, że para oczu obsypywała go iskrami.

Reszta towarzysystwa, jakby domyślając się intencji tego toastu, zwróciła się do niego ze swemi kieliszkami, co go zmieszało jeszcze bardziej.

Uczczono go, jakgdyby był Amfitryonem tej biesiady.

Szampan rozgrzał atmosferę, dolewano kieliszki i wypróżniano na przemian, wesoly humor wzrastał z każdym nowym dowcipem, śmiano się ze wszystkiego i śmiano bez przyczyny.

Wila wyglądała rozkosznie z tą miną bachantki, której coraz więcej nabierała pod wpływem wina; w chaosie głosów najdonośniej brzmiał jej śmiech, nerwowy, gwałtowny, który zdawał się wstrząsać nią całą; zapalała się, pięścią kilka razy uderzyła tak silnie o stół, że cała zastawa na nim podskoczyła z brzękiem, rozchukany temperament wybuchał jakimiś wulkanicznymi błyskami, jakby na popis, jakby dla wzbudzenia podziwu.

Rude jej włosy, z których przy niespokojnych rzutach głowy powypadały szpilki, rozsypały się na ramiona i spływały po nich niby falą roztopionej miedzi.

Zdawała się nie zważać na ten przypadkowy efekt, ale go zręcznie wyzyskiwała, stopniując wrażenie swych wdzięków.

Fatt czuł się w siódmym niebie, choć patrzył tylko i mileżał; uśmiechał się nieustannie.

— Halkosiu, teraz kawy! — odezwał się głos Wili, po wyszczeniu ostatniego kieliszka — kawy i likieru. Tu duszno!.. zdaje mi się, że omdlewam. Wstać nie mogę. Kto mnie zaniesie do budoaru?..

Tonio ze Znajemskim rzucili się do jej krzesła, ale, jakby przestraszona nagle własnym wyzwaniem, poskoczyła, odrzucając ich i wymknęła się z pokoju.

— W takim razie mateczka musi odbyć wjazd tryumfalny, niema rady! — wołał rozigrany Tonio — Bellini!.. panie Fatt, dajcie!.. zaniesiemy na tronie nasze sławę do drugiego pokoju.

To mówiąc, pochwylił przy pomocy Znajemskiego, krzesło, na którym siedziała ex-primadonna, i nie pozwalając jej powstać, uniósł ją do spółki z tenorem w górę.

— Co robicie, waryaty! — wołała stara śpiewaczka, zgorszona wybrykiem ich zbyt dobrego humoru, protestując przeciw tej zaimprovizowanej owacy.

— Czy-to mi raz wyprzegano konie z powozu!—chwalił się Bellini, — na rękach mnie odнесли z teatru do hotelu!.. *Parole!*

W budoarze Wila siedziała na szeslongu, z twarzą wciśniętą w poduszki, z rękoma splecionymi na głowie, nie tasama, która przed chwilą zdawała się być wcieleniem ognia i śmiechu przy stole.

Zaszała w niej jedna z tych nagłych, niewytłomaczonych, gwałtownych zmian, którym podlegał jej organizm nerwowy.

— Co ci się stało? — pośpieszyła z troskliwym zapytaniem Halkiewiczowa, nachylając się nad nią.

— Nic, nic, — zostawcie mnie tak chwilę, chwileczkę!..

— Słabo ci?

— Nic, nic mi nie jest.

Nie ruszała się i ręką zatoczonych w górę, jak u klasycznej karyatydy, nie zdejmowała z głowy.

— Dajcie jej wypocząć, zostawcie ją, — szepnęła Halkiewiczowa — to przejdzie. Zadużo piła szampana.

Mężczyźni cofnęli się ku trójnogowi; Karol tylko sam został przy ottomanie, spoglądając ze współczuciem i zajęciem na tę dziwną istotę, zaniepokojony stanem jej nagłego rozstroju.

W budoarze zrobiło się cicho przez chwilę.

Wila zdawała się nie oddychać wcale, ale jakgdyby czuła obecność i spojrzenia Karola, zwróciła zlekka głowę ku niemu, otworzyła przysłone oczy i spoglądała na niego długo, przeciągle, melancholijnie, potem rękę zwolna omdlałym ruchem wyciągnęła ku niemu i rzekła tak cicho, żeby jej nikt, oprócz niego, nie mógł usłyszeć:

— Jaki pan dobry!..

Miało to być podziękowaniem za troskliwość i współczucie, które wyczytała w jego twarzy.

Z głębokim westchnieniem poprawiła się wreszcie na poduszkach i głośniejszym głosem do reszty swoich gości mówiła:

— Przepraszam was... to jeden z moich zwykłych zawrotów głowy!.. już mi lepiej... Dajcie mi teraz kawy i zaczniemy rozmawiać. No, rozmawiajcie!.. nie trzeba mi się sprzeciwiać...

Tonio podał jej filiżankę kawy i przysiadłszy się na brzegu otomany, zaczął z nią szeptać po cichu z uśmiechem.

Znajemski z Karolem usunęli się napowrót do stołowego pokoju.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przedstawienia trupy russkiej na scenie

TEATRU WIELKIEGO.

Bawiąca obecnie w Warszawie trupa artystów dramatycznych p. Korsza przedstawiła już między innemi na scenie Teatru Wielkiego: *Szczególne polecenie* p. N. N. Nikołajewa, w której to sztuce postać bohatera artystycznie odtworzył p. Kisielewski oraz żart sceniczny Czechowa pod tytułem: *Propozycja*. Jest to rzecz napisana z talentem. Drobnostkę tę grali z życiem pp. Swietłow (Łoncow) Miedwiediew (Czubakow) i p. Martynowa (Natalia).

Dnia 26 Lutego (10 Marca) r. b. po odśpiewaniu hymnu narodowego: „Boże Cesarza chroń,“ odegrano *Wieczór w Sorrento* Turgeniewa. Zaleta główna *Wieczoru* w Sorrento polega na ślicznym, pełnym poetyckiego uroku dyalogu. Sztukę tę odegrali bardzo dobrze p. Ludwigo i Kisielewski, oraz panie Głama Meszczerska i Potocka. Wspaniała dekoracja, wystawiająca widok Zatoki Neapolitańskiej, pędzla Janowa i Wasiljewa przyczynia się niemało do spotęgowania wrażenia. Następnie przedstawiono trzyaktową farsę I. Miśnickiego p. t. *Jak kura w barszczu* odznaczającą się niezwykłym ożywieniem i mnóstwem zabawnych scen i sytuacji. Sztuka ta odznacza się wielkimi zaletami scenicznymi i odegraną została z należytą werwą i humorem. Szczególniej panie Martynowa i Koszowa i pp. Jakowlew i Swietłow zbierali liczne oklaski. Zakończenie stanowiły monologi p. Szmidhoffa.

W dniu 12 Marca, roku bieżącego, odegrano po raz pierwszy w całości *Rewizora* Gogola. Komedia ta lat temu cztery obchodziła 50-cio lecie swojego pierwszego przedstawienia. Treść prosta i jasna, jak zwykle w arcydziele, bo *Rewizor* niewątpliwie do takich zaliczonym być może.

Komizm w tej sztuce podczas przedstawienia coraz silniej się rozwija. Z każdego wyrazu widać mistrza, arcydzieło cieszy się ogólnym uznaniem i bywa grywane z wielkim powodzeniem na wszystkich scenach Cesarstwa; istnieje wydanie specjalne tej komedii dla zakładów naukowych z roku jubileuszowego, opatrzone krytyką najpierwszego krytyka, Bielińskiego.

Gra artystów była bez zarzutu. PP. Miedwiediew (burmistrz Dmuchanowski) Potiemkin (nadzorca szkół Chłapow) Kisielewski (Łapkin-Tiapkin sędzia) Agramow (Kurator Ziemiłanika) Sołnin (pocztmistrz Szpekia), Jakowlew (komissarz Uchowiertow) stworzyli galeryę typów starannie wystudjowanych.

KTO SIĘ LUBI

TEN SIĘ CZUBI.

Przysłowie dramatyczne w 1 odsłonie

NAPISAŁ

J. MOROSZ.

(Dokończenie.)

SCENA 7-ma.

Natalia (sama).

Natalia (chwile stać niepewna — jakby chciała wyjść za Edwardem). On jeszcze gotów wyjechać... o ja zrobię... przecie go nie mogę przeproszać...

Ach! Boże mój, Boże, jakaż ja nieszczęśliwa! (wybuch płaczem).

SCENA 8-ma,

Natalia—Klementyna.

Klementyna (przestraszona, biegnie do Natalii, odciąga jej ręce od twarzy i tuli pieszczotliwie). Natalciu, droga ty moja, co tobie, co się stało?.. co to jest?

Natalia (przez łzy). On... on pojechał... obraziłam go... on nie wróci...

Klementyna. Co? z panem Edwardem coś zaśzło?

Natalia (przez łzy). A tak...

Klementyna. Ależ on ani myśli wyjeżdżać!

Natalia. Obrził się... wyszedł, nie podając mi ręki...

Klementyna. Ależ nie bój się, przecie temu można będzie zaradzić, a powiedz tylko o co poszło?..

Natalia. At... o co... a dzieciństwo, jak zawsze, przyszło mu do głowy niepozwolić mi konno jechać...

Klementyna (zdziwiona). A zkadze tobie na myśl przyszła konna jazda?

Natalia (zmieszana). No, tak — chciałam się trochę przejechać...

Klementyna (kręci głową — myśli — po chwili). Coś mi się to nie zdaje... Ej! Natalciu, przyznaj, ani ci się śniło jechać, ale chciałaś się z nim trochę podroczyć!

Natalia (czerwieni się i miesza bardzo). Ależ nie! doprawdy! byłabym pojechała!

Klementyna. Chyba jemu na złość. Ej! Natalciu, Natalciu, jakaś ty dziwna czasami, to aż zrozumieć trudno! Wiesz, że ten człowiek kocha cię prawdziwie, szczerze, serdecznie — że to człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu — i grasz mu na nerwach... Ależ, dziecko, jeżeli strunę przeciągniesz, zerwać się może — a nawiązać ją będzie trudno! Ten człowiek, raz odepchnięty, nie wróci. Szkoda życia, szkoda uczucia!

Natalia (żywo). Ty myślisz, że to tak łatwo zapanować nad sobą! On wie, jak ja nie znoszę przymusu — jak jestem przekorna — i zawsze mnie doprowadzi do tego, że stracę panowanie nad sobą i zrobię coś, co później muszę odrabiać.

Klementyna. Jakiż można tak igrać z uczuciem?

Natalia (żywo). A cóż ty robisz lepszego?

Klementyna (zmieszana). Ja?

Natalia. A ty... Chciałaśbyś wmawiać w siebie, że nie wierzysz w uczucie Zygmunta?

Klementyna (z bolesną ironią). To ma być uczucie? alboż on umie kochać naprawdę? Pobawić się — i owszem — ale nie więcej.

Natalia (poważnie). Nie obrażaj go. Ja, co go znam przecie od dziecka i kocham jak brata, mogę zaręczyć, że on cię kocha z duszy i z serca, jak kochał, gdyście byli dziećmi...

Klementyna. Kiedy ja mu wierzyć nie mogę. To taki trzpiot, że ja go się boję...

Natalia. Nie wszyscy mogą być na jedną formę ukuci... Co to mówić... alboż tybysz wołała, żeby taki był poważny, jak pan Edward... kiedy kontrasta przyciągają się wzajem... Et! Muniu moja, mam ja dobre oczy: wiem co się kryje w twym sercu...

Klementyna (mocno zmieszana). Proszę cię, tylko nie przypuszczaj...

Natalia. Ja nie wcale nie myślę przypuszczać — ja twierdzę, i to stanowczo, że i ty dla Zygmunta obojętną nie jesteś, a nie chcesz się przyznać najpierw przez dumę... potem przez przekorę, boś i ty nie lepsza odemnie, ani od reszty kobiet... a potem, bo ci straszno...

Klementyna (tuląc się do niej). Oj! jak straszno, jak bardzo straszno! Jam nie z tych, co umieją zawód przeboleć i poraz drugi pokochać... jabym miała życie złamane nazawsze...

Natalia. Dziecko — to ci nie grozi — ja ci ręczę za niego, a wiesz, że cię kocham jak siostrę... Ale ci jeszcze powtórzę: — Nie przeciągaj struny, bo

pęknie... (za drzwiami słychać głos Zygmunta). On tu idzie — uciekam.

Klementyna. Ależ, Natalciu! (chcę ją zatrzymać — ale ta się jej wyrzuwa i wybiegając, we drzwiach spotyka się z Zygmuntem).

Natalia (do ucha Zygmunta). Wszystko dobrze — przypuść szturm stanowczy!

SCENA 9-ta.

Klementyna—Zygmunt.

Zygmunt (nieśmiało). Nie przeszkadzam pani? Klementyna (łagodnie). Mnie pan nigdy nie przeszkadza...

Zygmunt (ośmielając się). To czemuż maie pani zawsze od siebie odpędza?

Klementyna (z uśmiechem). Może, aby się przekonać, czy panu to robi choć trochę przykrości...

Zygmunt (z ostupieniem). No proszę! i powiadają, że my jesteśmy zarozumiali? a ja naprawdę czasami byłem przekonany, że mnie pani nie cierpi.

Klementyna (śmiejąc się). Bo też naprawdę były chwile, w których nie cierpiałam pana!

Zygmunt (żywo). Kiedy?

Klementyna. Oho! jaki ciekawy! proszę się nie spodziewać odpowiedzi!

Zygmunt. Jak pani ślicznie, kiedy się pani śmieje — dlaczego tak rzadko się to zdarza?..

Klementyna (poważnie). Bo mi często bardzo smutno...

Zygmunt (bierze ją za rękę). Czemu, kuzyneczko Muniu?

Klementyna (zmieszana — nie odbierając ręki). Bom sierota... sama na świecie...

Zygmunt (całując jej rękę). Sama? póki ja żyję? nigdy... ja, zdaleka, czy zbliżka, odepchnięty, odrącony, w chwili smutku zawsze będę przy tobie...

Klementyna (ścisnąc go za rękę). Dziękuję panu...

Zygmunt (puszczając nagle jej rękę). A może... może ja panią nudzę... może...

Klementyna (boleśnie dotknięta). Mnie pan nigdy nie nudzi...

Zygmunt (z gorczyzą). Może to dobroć pani, to tylko próba, a gdy wpadnę w siła — tak chętnie każdy z nas wierzy temu, czego bardzo pragnie! — zostanę wysmiany, wydrwiony... Bo i co pani po takim dzieciaku, co tylko umie kochać serdecznie, nie więcej?

Klementyna (smutno). Jakiś pan niedobry...

Zygmunt. Nie moja wina, że się boję.

Klementyna (z gorczyzą). Omyliłam się — nie mówmy już o tem... przeproszam pana... (chce odejść).

Zygmunt (chwytając ją za obie ręce i pokrywając je pocałunkami). Kuzyneczko! Muniu moja! przeproszam... daruj mi...

Klementyna (z wyrzutem). A gdybym nawet na tę jedną chwilę potrzebowała pana przyjaźni, a potem cofnęła się znowu... gdyby mi na tę chwilę za bardzo zaciężyla samotność... gdyby to była tylko chwila...

Zygmunt. To jeszcze wartoby z niej korzystać i wdzięcznym być za nią... prawda... masz słusność... A więc — rozporządzaj mną zawsze, a gdy ci taka chwila przyjdzie, ja będę przy tobie... nie roszczęc praw żadnych do ciebie, gdy chwila owa przeminie...

Klementyna (łagodnie). Praw raz zdobytych nie trzeba się wyrzekać...

Zygmunt (smutno). Ja z tobą walczyć nie umiem...

Klementyna (wesolo). Chyba od rana do wieczora nie innego pan nie robisz.

Zygmunt. Czyż zawsze te pan będzie na ustach u ciebie?.. czyż nigdy mi nie nazwiesz, jak dawniej po imieniu?..

Klementyna (zmieszana). Dawniej... dawniej było inaczej...

Zygmunt (smutno). Tyś już zapomniała.

Klementyna (cicho). Ja niczego nie zapominam nigdy...

Zygmunt (radośnie). Jakiż więc pamiętasz?..

Klementyna. Może lepiej od ciebie...

Zygmunt. O! to niepodobna! Tyś mi była gwiazdą przewodnią przez te trzy lata niewidzenia... A potem... potem mi się zdawało, że świat cały pociemniał mi w oczach... Czemuś ty mnie męczyła tak strasznie?

Klementyna. Bom się bała na jedną kartę całe życie postawić i przegrać...

Zygmunt. Nie wierzyłaś—nie ufałaś—nie ufasz może i teraz...

Klementyna (zakrywa mu ręką usta). Cicho! już cicho, dzieciaku, bądź już sobie, jakim sam chcesz!

SCENA 10 ta.

Ciz sami, Natalia (wbiega).

Natalia (staje zdziwiona; tamci, śmiejąc się, wybiegając do ogrodu). No! porozumieli się nakoniec! Ciekawam, czy ja ze swoim panem dojdę do porozumienia kiedy — czy też lepiej może zrezygnować? (Edward wchodzi niepostrzeżony). Boję się go—doprawdy boję się!

SCENA 11-a.

Natalia — Edward.

Edward. Mnie się pani boi?

Natalia (odwraca się przestraszona). Pana? a toż co znowu?

Edward. A zatem—kogoż?

Natalia. To już pana nie obchodzi w niczem.

Edward. Wszystko co pani się tycze, musi mnie obchodzić.

Natalia (nadąsana). Ciekawam zkąd?

Edward. Najpierw, proszę porzucić ten ton rozkapryszonego dziecka, który do niczego nie podobny.

Natalia. Ostrzegam pana, że tego rodzaju uwag nie znoszę!

Edward (spokojnie). To jeden dowód więcej, że ich pani potrzebuje.

Natalia (z urazą). W każdym razie to do pana nie a nie należy.

Edward (j. w.). Więcej niż do kogo innego.

Natalia. A toż co znowu?

Edward. Wątpię, aby ktoś drugi na świecie miał odwagę, jak ja, wypowiedzieć pani prawdę w oczy...

Natalia. I co panu z tego przyjdzie?

Edward. Nic zupełnie—ale spełniam obowiązek przyjaciela pani.

Natalia (z dąsem). Ja nie jestem pana przyjaciółką.

Edward. Ale ja jestem pani przyjacielem.

Natalia (z ironią). Mocno obowiązana—ale od biedy mogłabym się obejść bez tego zaszczytu...

Edward (wzburzony — ale na pozór spokojny). Wątpię.

Natalia (z ironią). Wątpisz pan?—i nie więcej? A gdzie się podziała pańska pewność siebie?

Edward. Sama pani przyznaje, że mnie się boi—a zatem mam już dość przewagi i wiem o tem.

Natalia (żywo). Ja wcale nie o panu mówiłam, ale o swoim znajomym z Warszawy, z którym mam się wkrótce zobaczyć, bo za tydzień tam jadę...

Edward (poruszony). Czego też pani wkrótce na przekorę nie wymyślisz!

Natalia (obrażona—wstaje). Przyznam się panu, że tego już nadto!

Edward. Ależ niech się pani nie irytuje!

Natalia. To pan mnie irytuje!

Edward. Pocóż pani mówi o jakiejś podróży do Warszawy, która jest wprost niemożliwą?

Natalia. A to czemu?

Edward. Bo, rzecz prosta, że ja pani nie puszcze.

Natalia (z trudnością powstrzymując wybuch gniewu). Tylko taka przeszkoda?

Edward (panując nad sobą). Wierz mi pani, ona wystarczy.

Natalia (z najwyższą ironią). Przypuszczam—tylko dla mnie...

Edward. Może nawet dla pani... (trzymając wachlarz Natalii, łamie go w rękę).

Natalia. Co pan robi?

Edward. Złamałem wachlarz pani.

Natalia (z ironią). Potrzebował pan gniew na czemś wyrzucić?

Edward. Być może—nie myślałem o tem.

Natalia (zaczyna się śmiać do rozpuku).

Edward. Proszę, niech się pani nie śmieje.

Natalia. Dlaczego?

Edward. Bo mnie to drażni.

Natalia. Ależ to powód więcej (śmieje się)!

Edward (zaledwo panując nad sobą). Ja panią proszę: przestań!

Natalia (zrywa się). Do widzenia—czas mi się już przebrać, bo koń czeka dawno.

Edward (zastępuje jej drogę). Przepraszam—z tego stanowczo nic nie będzie.

Natalia (patrzy mu w oczy—po chwili bardzo zimno). Proszę mi z drogi ustąpić.

Edward (stanowczo i rozkazująco). Nie ustąpię; dla przekory nie dam pani narazić się na niebezpieczeństwo—zresztą, dość tego—ja nie pozwolę na to!..

Natalia (j. w.). Proszę ustąpić...

Edward (z wybuchem). Nigdy! nadto mi pani drogą jesteś! wolę gniew pani, bo ten tylko mnie zaszkodzi!

Natalia (miesza się—o krok cofa). Co to jest?... co to ma znaczyć?

Edward (z mocą). To ma znaczyć: że, czy pani chcesz, czy nie chcesz, moją być musisz — i będziesz!

Natalia. Ja... ja nie rozumiem.

Edward (j. w.). Nie opieraj mi się pani daremnie, bo cię wezmę siłą, choćby wbrew woli twojej własnej! (bierze jej ręce obie).

Natalia (cicho). Ja—ja się pana boję.

Edward. Rozumie się—inaczej, jabym się pani bać musiał... Zresztą, jam znów nie taki straszny.

Natalia (żywo). Na co panu takie rozpieszczone dziecko?

Edward (z uśmiechem). Aby je rozpieszczać jeszcze bardziej.

Natalia. Pan mówisz, że ja taka kapryśna!

Edward. Ależ ja będę sam niektórym kaprysom dogadzał.

Natalia. Jeśli one się będą zgadzały z wolą pana!..

Edward. Nie—jeżeli pani nie przyniosą żadnej szkody... A zatem...

Natalia (przekornie). Zatem cóż?

Edward. Czekam na odpowiedź.

Natalia (j. w.). Ja panu nie dam żadnej.

Edward. To ja ją sobie sam wezmę... (chce ją objąć w pól—w tej chwili we drzwiach do ogrodu ukazują się Klementyna i Zygmunt).

SCENA 12-sta.

Ciz sami—Klementyna, Zygmunt.

Zygmunt. Bravo! bravo! a zatem i tutaj wygrana! No! to już naprawdę można powiedzieć: Kto się czubi, ten się lubi!

Lokaj (wchodząc). Proszę do stołu!

Zasłona spada).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXIX.

Przyjaciółka żon, komedia w 5 aktach, akt IV w 2 odsłonach, oryginalnie napisana, przez Edwarda Lubowskiego — przedstawiona poraz pierwszy w Teatrze Rozmaitości d. 8 Marca 1890 r. — *Zemsta za mur graniczny*, jej powodzenie i gra artystów. — P. Ozaki i czego jej do Klary potrzeba. — P. Frenkiel w *Złotym cielecu*. — Kwadrat w *Przeglądzie Tygodniowym* i kwadratura koła.

Komedia bez wyższego założenia, ale też i bez pretensyi do wyższości — na sposób sztuk fran-

cuzkich najnowszego stempla wesola, urozmaicona dramatem poważnym, dyalogowana żywc, dowcipnie, pełna zadzierzgnięć i węzłów humorystycznych, nosząca na sobie znamiona oryginalności spostrzegawczej, okraszona ciętością satyryczną: taką jest *Przyjaciółka żon*, przychodząca po dość długiej przerwie od czasu wystawienia ostatniej komedyi tegosamego autora *My się kochamy!* Analizy głębszej i charakterów na niej opartych w nowej komedyi Lubowskiego niewiele. Autor, wbrew samemu sobie, dał nam tutaj sztukę przeważnie *sytuacyjną*; tylko, że z wprawą umysłu podpatrującego już od wielu lat ludzi i ich obyczaje, z biegłością pisarza, który tyle już dla teatru natworzył, umiał Lubowski ponadawać charakterom swoim żywotność a pobudkom słów i czynów prawdopodobieństwo. Wszyscy żyją u niego i poruszają się bez trudu i dają dobre życia złudzenie. I same sytuacje nie są znowu tak naciągane, aby nieprawdziwymi być miały, a w układzie ich tyle jest łatwego humoru, że dowcip, właściwością talentu i człowieka będący, jak istny już siłacz, podejmuje i przerzuca ustawione ciężary, nie dając poznać po sobie znużenia. Nie wszystko tam wprowadzie ma jednakową wartość, nie wszystko organicznie wpłata się w całość istotnej, zrąb wypadków stanowiącej przgyody, nie wszystko wreszcie służy do uwydatnienia charakterów; ale prawie wszystko bawi, obudza śmiech, przytrzymuje uwagę publiczności — na tendencyjnej komedyi społecznej nieraz krnąbrną, bo taka komedya wymaga i bardzo rozumnego opracowania i niebardzo nierozumnych słuchaczy, a przytem niezawasze znaleźć może dla siebie dogodne warunki zewnętrzne.

Rzecz prosta, że w hierarchii umysłowości takie lekkie bawiące utwory, z charakterem kosmopolitycznym, społecznie bezbarwne, ideowo neutralne, zawsze niżej stać będą od tych, w których satyra, godząc w rzeczywistość, w wielkich już liczbach wyrażające się, zdrożności i kalektwa obyczajowe i umysłowe ludzkości lub danego społeczeństwa, i śmiech obudzając w widzach, sama drży z gniewu i boleje z troski o to: co będzie, gdy złe wytknięte w sztuce rozpleni się w życiu? W najnowszej komedyi Lubowskiego obok chęci zabawienia publiczności drży horacyszowy ton *Nil admirari*: ludzie będą, jakimi są, a są, jakimi byli. Satyra traci tu już swój żar wewnętrzny, stygnie i układa się do równowagi z tą obojętnością przedmiotowego rozumu, który wobec wiekuistej niepoprawności ludzkiej dla troski wszelkiej ma tylko jedno: „głową muru nie przebijesz.“

Satyra dała komedyi Lubowskiego tytuł. *Przyjaciółka żon* jest właściwie przyjaciółką mężów a kusicielką żon. Przyjaźń jej wyraża się w pożądlivosti ich upadku i — pieniędzy. Złe nie znosi wyższości: każda nieprawość urabia sobie sumienie, nawet ideały życia. Jeżeli z żądzą stracania wszelkiej wyższości łączy się chęć zemsty osobistej, taka przyjaciółka może się stać charakterem prawdziwie demonicznym, wyrastającym już ponad miarę danego rodzaju sztuki, ale dającym się także ująć i wcielić w komedya wyższą. Nie w takim stylu psychologicznym zamierzył Lubowski wytworzyć swoją *Wiatrowiczkę* (p. Lüde). Jest to istota płytka pospolita, uderzająca chyba tylko swoją czelnością i owem dorobionem sumieniem, którego poziom trzyma się stale na wysokości występku. Ale jej czelność nie jest wyłącznym tylko wytworem duszy nieprawej: nie, to raczej skutek pobłażliwości towarzyskiej, zasilanej ciągle przez głupotę, próżność i trzpiotowatość życia — a nigdzie tak bujnie niekwitnącej jak u nas. Uważana za równą, przyjmowana jak dobra i miła znajoma i nawet „przyjaciółka“ (w znaczeniu przyjaźni między kobietami) *Wiatrowiczkę* uznaje też równość swą zupełną z istotami uczciwymi za swoje dobre prawo i każdego, kto po opadnięciu draperyi pokaże jej drzwi, nazywa nikczemnikiem. Tak się też dzieje i w komedyi Lubowskiego, gdzie wietrzniaczka, opuszczona w końcu sztuki przez wszystkich, sama jedna tylko z zuchwalstwem swoim zostaje na pobojuwisku, które widziało jej klęskę. Charakter ten w zakresie pojęcia zasadniczego i przy-

dany już etycznym ciężarze gatunkowym wytworzony jest logicznie i przejawami swoimi szczerze zajmuje.

W skład tego charakteru wchodzi także i mściwość. Pragnie ją Wiatrowiczowa nasycić, gubiąc żonę adwokata Cierskiego (p. Ładnowski), Adę (p. Wisnowska). Niedgdy kochała się w mężu, — odrzucona, chce mu teraz zburzyć szczęście małżeńskie; ale to chcenie w niej nie jest dość silne, nie indywidualizuje dostatecznie jej charakteru, nie wzbogaca go stałą pobudką czynów. Za jej sprawą młoda, kochająca zresztą swego męża, kobieta daje się nakłonić do ucieczki z domu, i rzeczywiście ucieka, ale się myli, zachodzi nie tam, dokąd przyjąć miała — i ostatecznie wraca do domu, do męża, do obowiązku; ani dom przecież, ani mąż, ani obowiązek przyjąć jej już do siebie nie chce.

Ta chwila zejścia na bezdroże, jakkolwiek myślną samą tylko, trwa bardzo krótko; zawsze jednak trwa, jest, oznacza pewien stan duszy: za tem trzeba ją oceniać ze stanowiska duchowego usposobienia, pamiętając, że wszelka możliwość czynu musi tkwić w rzeczywistości charakteru. Pod tym względem Ada nas nie zadawalnia: autor wcale w niej samej nie usprawiedliwił jej szalu, obłędu czy kaprysu. Ale za to powrót Ady do męża ukazuje ją i prawdziwą i piękną. Skrucza jej nie jest tchórzowstwem: jest odwagą uczciwości, o byt swój walczącej. Miłą dla etycznego wzroku niespodzianką był list podany mężowi po rozmowie z Tuszewskim (p. Nowicki) owym właśnie niedoszłym uwodzicielem, mającym małą, ale charakterystyczną rolę. Przeciwnie tej kobiecie winnej tylko przed własnym sumieniem ma Tuszewski nie tylko samo to jej sumienie, ale i pozory straszliwe i druzgocze niemi nierozważną, w dramatycznej, ale przez aktorów nie dość silnie wycieniowanej, scenie. Piękną, nieposzlakowaną w czystości rysunku, jest odprawa zakończona ucałowaniem ręki mężowskiej. Szkoda tylko, że to wszystko nie tkwi rdzeniem w charakterze.

Para małżonków ze wsi: Rabsztyńscy (p. Wolski i panna Czaki) i Wilewicz (p. Tatarkiewicz i panna Barszczewska) służą autorowi do uplastycznienia wierności, wiecznie podejrzliwej a wiecznie oszukiwanej, i niewierności, zasłaniającej się stale tarczą obłudy. Rabsztyńskiego wysunął Lubowski na przód, rozjaśnił go humorem, ożywił samem zadaniem wskazanem mu w sztuce. Drugi akt, przez Rabsztyńskiego prowadzony, po pierwszym, nieco zanadto dyałowym, prawdziwie już kipia cy życiem, a wzorowany na Francuzach, jak Bisson, daje wisusowi rozległe pole do lekkoduchowych popisów. Na przeciwnym biegunie stoi stary kawaler (są to ludzie najlepsi — albo i najgorsi, jeśli chcecie) Piotr Wierusz (p. Trapszo) sensat i sensal komedii, przyjaciel i ochmistrz mężów a opiekun żon, — i przytem wszystkim postać wcale nie z tektury. Układa on akt II tak, aby kobietę cnotliwą, lecz tylko nieroztropną, od hańby ocalić. Dziwić się mu nie można, gdy go w akcie V słyszymy tryumfującego, że się nie ożenił. Prócz owego Tuszewskiego figurą epizodyczną jest radzca Bibiszewski (p. Szymanowski), od którego lepszych radzców Lubowski dawał nam już dawniej widzieć przez szkła swej satyry; jest dalej Metzger (p. Kotarbiński), jakiś rzeźnik czy mydlarz, szalejący za „Przyjaciółką żon“, która na zimno czuje pociąg do jego pugilaresu i fabryki, i dopiero osamotniona skłania się wreszcie do oddania mu swej ręki; jest wreszcie Panna Alina z baletu (panna Szrage) — coś całkiem niepotrzebnego, zwłaszcza w drugim akcie komedii, który i bez Aliny idzie żywo, na brak niespodzianek uskarżać się nie może i utrzymuje w salwidzów stałą atmosferę śmiechu. Metzger narysowany jest poprawnie, niewielu rysami, a dosadnie.

Najlepsi kolledzy nie mogliby więcej uczynić niż uczynili dla Lubowskiego przedniejsi nasi artyści, podejmując się takich małych, przelotnych ról, jak Bibiszewskiego, Metzgera, Wilewicza, a w całym zastępie *dramatis personae* dając grę staranną, żywą, w pojedynczych rolach układającą się do jednolitej całości. P. Kotarbiński przez

doskonałą charakterystyczą i nastrój pojęcia i głosu, z błahej rolki zrobił postać, która się wrzyna w uwagę widza. Wybornie też wyglądał p. Szymanowski jako radzca — od nieradności. Panna Wisnowska dobrze się chyliła ku ziemi w akcie III-cim, a garnęła do ręki mężowskiej w IV-tym, cały jednak charakter „Ady“ w jej grze był zanadto hieratycznym, niemrawym. Lękać się potrzeba, czy nie będzie to już stała maniera, bo nie pierwszy już raz dostrzegam takie niewłaściwe jakby zamurowywanie się w rolach. P. Czaki nadspodziewanie nie była niewiniątkiem, wyszłem trochę z wieku niewinności. Wszyscy wogóle spełniali więcej, niż obowiązek: starali się grać jaknajlepiej. Zapewne była w tem własna szlachetna ambicja; ale była i sympatja dla sztuki oryginalnej i dla autora. Z przyjemnością zaznaczam, że p. Ładnowski, pomimo nieusposobienia głosowego, wydobywał z piersi głębokie tony boleści, gdy Cierski ciska w żonę zawiedzioną miłością swoją i rozwianemi marzeniami o szczęściu.

Zemsta za mur graniczny coraz silniej przywiązuje do siebie publiczność. Widziałem ją teraz znowu z p. Szymanowskim jako Papkę, a p. Grzywińskim, jako Cześnikiem; sala była pełna a owiewała ją szczerze zajęcie się sztuką fredrowską. Oklaskiwano wybitniejsze chwile, po czwartym zaś akcie wyprowadzono artystom i sztuce gorącą owacy. Kunsztowny jednak dowcip fredrowski nie wszędzie jeszcze otrzymywał to, co mu się należy. Takie przysłowio: „Z przodu, z tyłu nie nie znaczy: dobry rycerz wszędzie straszny“ — albo: „Wielu was tam? Chodź tu który! Nie wylezie żaden z dziury?“ — stające obok sławnego, już narodowego przysłowia z *Cudzoziemczyzny* „Dobrze angielską miłą przejechać się czasem“ — przechodziły bez wrażenia. P. Szymanowski dawno już grywa Papkę; wobec wejścia Frenkiela na stałe do naszego teatru powinienby tę rolę jemu zostawić. P. Grzywiński nie był ostatecznie złym Cześnikiem, ale p. Trapszo, gdyby nie głos, byłby zupełnie dobrym. P. Czaki nie umiała się wżyć w Klarę. Nic dziwnego: od kobiety dzisiejszej, naiwnej czy rezolutnej, daleko już bardzo do dziewczęcia z XVIII wieku. Trzeba się tam przedzierać nawet z pewnym mozołem przez pamiętniki i powieści historyczne. Czytanie ich też zalecamy, jeśli p. Czaki chce być istotnie artystką odtwarzającą rolę, a nie maszynką *sui generis* do wyrzucania słów i ruchów w rolę wpisaną. Wogóle nie idzie jeszcze *Zemsta* tak, jak iść powinna; ale jeśli tylko artyści powiedzą sobie, że iść musi, to pójdzie. Przydadzą się jeszcze studia — nawet Mileczkowi.

P. Frenkiela ujrzałem w piątej jego roli na scenie warszawskiej (*Durand et Durand, Hypnotyzm, Zemsta, Rozbitki*): w *Złotym cielu*. Mogłem go tu porównać z Żółkowskim. „To dobre, czego niema“ — pomyśli może artysta z ironicznym uśmiechem: nie, to lepsze, co lepiej wrażliwość nam wypełnia, lepiej zaspakaja głód, czy smak, z jakim przychodzimy do teatru, co lepiej odpowiada etycznemu i społeczno-obyczajowemu kamertonowi, co wreszcie na dłuższą postaje i w umyśle estetyka i w pamięci widza. P. Frenkiel zanadto się rzucił, zwił, rozprężył: kiedy tymczasem humorystyczna sentencyonalność roli nakazywała mu więcej spokoju i sztucznej, samym już nastrojem swoim rozśmieszającej, powagi. Tak rozśmieszał Żółkowski — stylowy geszefciarz. Gdy zaprzytywał p. Ludwika (zdaje się, że tak brzmi ów zakochany młodzieniec): czy widział kiedy anioła? teatr cały trząsł się i huczał od wesołości. Jest w każdym wyższym talencie coś, co się ująć, zważyć i najsubtelniejszą nawet krytyką ocenić nie da. To coś gaśnie wraz z człowiekiem, a jak nikt nie odmaluje płomienia, tak nikt nie postawi przed niczyje oczy najgłębszej istoty niczyjego talentu. Odczuwać ją tylko można w życiu: z życia przenieść w słowa i zamknąć w nich nie podobna.

W № 9-ym *Przeglądu Tygodniowego* graphonym kwadrat pisze o upadku u nas krytyki teatralnej. Upadek zasadza się na tem, że mamy trzech dzielnych krytyków: Władysława Bogusławskiego, Kazimierza Kaszewskiego i Józefa Kenigę, i że poza nimi jeszcze stoją dwaj autorowie dramatyczni: Edward Lubowski i Kazimierz

Zalewski, których wartości jako krytyków Kwadrat bynajmniej nie poniża, owszem zalety ich sprawozdań teatralnych uwydatnia. Pięciu zatem krytyków, przed którymi autor dobrowolnie stawia znak *plus* — pięciu na trzy sceny stałe, na niecałe półmiliona mieszkańców, a w najlepszym razie na setki tysięcy domniemyanych widzów: to jest nasz upadek. Odetchnąłem. Niechby tylko los cięższych nie dawał upadków: z tym jakoś poradzić-by sobie można. Jakże szczęśliwym byłby np. taki Paryż, gdyby na swoje dwa miliony mieszkańców i trzydzieści teatrów miał dwudziestu dobrych krytyków teatralnych! Wprawdzie kwadrat chciałby obu autorów dramatycznych od krytyki odsunąć; ale i w takim razie zostałoby nam jeszcze trzech, i przy tych trzech jeszczeby niezgorzej było.

Co poczną obaj autorowie krytycy? Czy pójdą za radą Kwadrata? Ich to sprawa. Przypomnieć im tylko potrzeba, że zagranicą pisarze dramatyczni wystrzegają się pisanja krytyk teatralnych, — najpierw ze względu na braci po piórze (braterstwo to rzeczywiście rozczula), a potem — ze względu na samych artystów. Ludzie są ludźmi: rzadko żyją sobą, swoim własnym etycznym ja, żyje w nich i za nich natura. Najlepszy charakter nie uchroni się od następstw stosunków drażliwych, niejasnych, nie zapobiegnie starciom wywoływanym przez miłość własną, tę najpotężniejszą mocarkę świata. Uwaga przeto jest słuszną a radą dobrą.

Doradza jeszcze Kwadrat jedną reformę wewnętrzną, drugą zewnętrzną. Pierwsza polegać ma na nadaniu krytyce charakteru publicystycznego. Tej rady, przyznaję się, nie rozumiem: mamy w teatrze być publicystami a w publicystyce teatralnikami? Nic nie rozumiem. Druga reforma sięgając powinna do czasopism codziennych, najpoczytniejszych, najwięcej wpływu na zdanie publiczności wywierających. Wyłóżmy karty na stół. O co chodzi Kwadratowi? Niedgdy Władysław Bogusławski pisywał w *Kuryerze Warszawskim*, potem przeszedł do *Codziennego*, teraz sprawozdania swoje zamieszcza w *Gazecie Polskiej*. Dopowiadał czego nie domówił Kwadrat. Nastrajają publiczność oba większe Kuryery: niech zatem Władysław Bogusławski powróci do jednego z kuryerów, a w drugim pochwyci pióro jeden z dwóch pozostałych wybitniejszych krytyków: będzie dobrze.

Najniezawodniej będzie, ale przedewszystkiem dla kogo ma być dobrze? O kogo tak troszczy się Kwadrat? czy o publiczność, bądź przychodzącą do teatru z gotowym już nastrojem krytycznym, bądź też wskutek rozstrojenia wcale nie przychodzącą? Nie. Idzie mu o ofiary krytyki — o artystów. *Da liegt der Hund begraben*. Ustęp o artystach w Europie a u nas żadnej nie zostawia wątpliwości: Kwadrat podnosi głos w obronie jakoby niesprawiedliwie ganionych lub nienależycie chwalonych wykonawców scenicznych. Sprawiedliwość gwałt cierpi: ztąd upadek krytyki, potrzeba reformy, rada złożenia piór dana obu autorom — ztąd cały artykuł i cały kwadrat. Na miejscu dzisiejszej krytyki, zbyt surowej, ma stanąć bardziej uprzejma, może nawet uśmiechniona: wtedy będzie dobrze.

Na to więc mamy podnosić krytykę z wrzekom upadku, aby ją przy podnoszeniu — zamordować. Trzeba mieć wielką zdolność ludzenia się, aby przypuścić, że operacyi takiej podjąłby się który z trzech wyższych krytyków naszych. Klienci Kwadrata, narzucającego się im na obrońcę, przez projektowane reformy dostaliby się z deszczu pod rynnę. Pamiętam, ile Bogusławski żnieść musiał w *Kuryerze Warszawskim* kwasów, niechęci, nawet nienawiści. Ludźmi jesteśmy, a popęd do nieomyślności, drzące w nas ustawicznie przeświadczenie o doskonałości naszych myśli, czynów, prac i robót wyrwać się nam już z naszego narządu psychofizycznego nie da. Wyjątkowe tylko natury — najmniej czynne — krytykę swoją w samych sobie noszą. Człowiek zanadto siebie czuje, żeby się mógł znać. Dobrodziejstwem dla niego jest to, że się odbija w samowiedzy innych. Dobrodziejstwem też jest nasza krytyka teatralna dla naszych teatrów i dla naszych artystów.

Ide dalej i twierdzą, że nasza krytyka na wierzcholkach swoich, które Kwadrat trafnie wskazuje, nietylko wcale od zachodniej, europejskiej, gorsza nie jest lecz wogóle biorąc, jest od niej lepszą, bo głębszą. Przykra czy miła, przynosi ona artyście naszym i autorom dramatycznym pożytki trwałe, a szkody tylko chwilowe. Jeśli jej gdzie nie przyjmowano tak, jak przychodziła, jeśli nie umiano oceniać sił własnych według jej probierza, jeśli nie chiano z sił tych korzystać według jej rad, — maż to być winą jej surowości lub niesprawiedliwości, a symptomem upadku?

Upadku szukać byłoby potrzeba gdzieindziej, gdyby się okazało, że żądza bezwarunkowych oklasków, oklasków jaknajwięcej, nietylko w salach teatralnych, ale i w łamach czasopism, opalała już nasze artystyczną gromadę. Ale się to nigdy nie okaże: zawiele mamy na scenie naszej prawdziwych zdolności i poważnej pracy. Zresztą choćby się krytyka cukierkami pasła, nie na wiele by się to przydało Ichmość własnym miłośnikom; najśłodsze nawet sprawozdania byłyby jeszcze gorzkimi. Krytyka i wytwórczość pojąć się dadzą tylko jako dwa biegunowo sobie przeciwne prądy: zadowolenie zupełne jednej przez drugą nigdy osiągnąć się nie da. Kwadrat zabawia się tu w kwadraturę koła — a zabawia się prawdopodobnie bez pełnomocnictwa, tylko jako *quasi-negotiorum gestor*.

S'tanisław Krzemiński.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż d. 1-go Marca 1890 r.

Filip Książę Orleański. — Jego przyjazd do Paryża i uwieszenie. — Łagodność zimy i piękna pogoda. — Książę Leon Sapieha w powrocie z podróży na daleki Wschód. — Jeszcze sprawa Gouffé'go i list z Warszawy z powodu Gabryeli Bompard. — Zimne i obojętne resztki karnawałowe. — Literatura, nowa szkoła i nowa literacka choroba. — Nowe książki. — „Souvenirs intimes de la Cour des Tuilleries“, przez panią Carotte. — Ciekawa książka niedawnej przeszłości. — Anegdota o ks. Bismarcku. — „Elekeya w Tigre sur Mer“, album satyryczne przez Gypa (Pani Martel) — Ważna książka: „Wieżnia Paryżkie“ przez P. Guillot'a. — List Alfonsa Daudeta (kwestya akademicka). — Wystawa Malarstwa i Rzeźby. — Stowarzyszenia kobiet artystek. — Wybryki młodego wnuka Wiktora Hugo.

(Dokończenie).

Znacie „Gypa“ — bo i któż go nie zna? — wiecie, że pod tym pseudonimem ukrywa się miła i rozumna Paryżanka, hr. Martel. Otóż znaleźmy dotąd Gypa jako pisarza uszczypliwego, sprytnego i, jak powiadają sami Francuzi: *d'un esprit endiable* — a oto zjawia się on nam teraz, jako karykaturzysta. Występ panny Martel jest to po prostu mistrzowski występ.

Gyp wydał na świat album wspaniałe, album pełne niesłychanej zabawności, złożone z kolorowanych obrazów. Ma ono za tytuł: „Elekeya w Tigre sur Mer.“ Pamiętacie, że za te sprawy wyborcze w „Luc sur Mer“ pani Martel skazaną została na grzywny 16-tu fr. przez miejscową policję poprawczą. Rysunki albumu objaśniają text uszczypliwy, zjadliwy nawet, ale zabawny i dowcipny, który opowiada i uniemożliwia ową awanturę wyborczą, zdarzoną w morskiej kąpieli w Luc sur Mer w Normandii. W tej sprawie wytoczonej pani Martel przez miejscowego mera Gyp był pociągany do sądu za *noctną rozterkę* (tapage nocturne). Otóż karykaturzysta w tym albumie odmalował wszystkich uczestników tej sprawy, z werwą, pełną najpociesznieszego komizmu. Rysunki naśladują naiwne malatury obrazków dla dzieci. Gyp daje je jako utwory sławnego swego Boba. Te drobne figurki, dziwne w postaci i w ruchach, są pełne

zjadliwego humoru i doskonale tłómaczą najzabawniejszy text legendy. Trzeba to czytać, patrzeć na to — i pękać ze śmiechu.

Pani hr. Martel należy, naturalnie, do obozu arcy-zachowawczego. Jest ona ozdobą i excytaczem (budzikiem) pisma legitymistowskiego satyrycznego „La vie parisienne“. W czasie ostatnich wyborów u morskich kąpieli w Luc sur Mer stanęła, ma się rozumieć, po stronie kandydata swojego stronnictwa, gdy zaś kandydatowi przeciwnego obozu wyprawiono, jak tu nazywają „Charivari“, wmieszała się do tej zabawy, a ze swoim wesołym usposobieniem, stanęła zaraz jakby na czele — ztąd proces, skazanie i album satyryczne.

Kiedy już jesteśmy w policyi poprawczej, nie opuszczajmy jej ławek, nieoddawszy należytej uwagi książce, nauczającej bardzo, a napisanej przez jednego z sędziów trybunału paryżskiego, przez p. Guillot, sędziego śledczego, który tu się okazuje i wyśmienitym pisarzem i moralistą o doświadczeniu głębokim. Dawniej już wydał był on książkę niemalej wartości pod tytułem: *Paris qui souffre*; dziś daje nam głębokie a rozległe studium, w przedmiocie niewesołej i niezabawnej strony tutejszego *modus vivendi* — ale pełne pouczających szczegółów. Książka ta ma tytuł: *Wieżnia paryżskie (Les prisons de Paris)* — a ten tytuł tłómaczy najlepiej jej zawartość.

Powiedzmy zaraz, że autor jest to człowiek znający może najgruntowniej we Francyi całej zbrodnię i zbrodniarzy. Więcej już, niż przez lat 15 p. Guillot prowadził śledztwa wszystkich sławnych spraw kryminalnych Paryża.

Wszystkie bohaterki dramatów miłosnych, zaczawszy od Maryi Bière, wszyscy zbrodniarze i mordercy sławniejsi, jak: Prado, Pranzini, Gambut, Marchandon i t. p., byli badani i studyowani przez ten umysł biegły i jasny i przedewszystkiem pragnący zawsze odszukać powód i przyczynę zbrodni. W badaniach swoich stara się on docierać do głębi tych przewrotnych istot.

Wprowadzając nas w ten świat dantejski więzień paryżskich, taki myśliciel, jak p. Guillot, nie mógł się ograniczyć do ciasnej, historycznej nomenklatury. Ciekawą jest zapewne ta część książki, gdzie rzecz idzie o dawne i dzisiejsze więzienie; ale autor jest przedewszystkiem moralistą i filozofem.

Jak wszyscy, którym były dostępne owe posiedzenia sądu kryminalnego, tak i p. Guillot cofa się z przestrachem przed tem wezbraniem morza zbrodni, które grozi zatopieniem naszej społeczności. Ze zgrozą pyta się siebie: gdzie jest ratunek, gdzie jest lekarstwo na tę straszną chorobę, która dotyka szczególnie od pewnego czasu młode i niedojrzałe pokolenie zbrodniarzy w wieku dziecięcym prawie — jak ci dwaj mordercy, ten kwiat krwawy bruku paryżskiego — którzy zamordowali staruszkę odźwierną przy ulicy Bonapartego?

Jako człowiek doświadczony, p. Guillot nie poprzestaje na środkach utopii, na wywodach psychologicznych Lombrosa, naprzykład, że zbrodnia jest fatalnym wynikiem ustroju czaszki, wyrazu twarzy, dziedzictwa i t. d.

„Są to czcze — powiada — spekulacye exaltowanych umysłów, i czas już odrzucić wszystkie podobne przypuszczenia — i owe lamenta wobec kary śmierci.“ Autor, umysł praktyczny i górny, nie tworzy i nie wyprowadza na scenę czczych i pustych teorii. Całe swe życie patrząc z blizką i oko w oko zbrodniarzem, wie doskonale i tłómaczy tu wymownie, że przyczyna złego leży gdzie indziej.

„Jeżeli liczba recydywistów codziennie, co godzina wzrasta; jeżeli najwięksi dziś zbrodniarze — są to prawie dzieci, wyrostki — mówi p. Guillot — dzieje się to wskutek tego, że związki rodzinne rozluźniają się coraz bardziej, że wyższa i głębsza wiara słabnie i upada, że małżeństwo z tem prawem rozwodowym, jakby z jakim premium cudzołóstwa, nie jest już tu dzisiaj, jak tylko *dowolnem kółkiem*. I dlatego pierwszy popelniony występki pociągają za sobą niezbędnie prawie zgubę moralną tego, kto się potknął i upadł. Kobieta, młoda dziewczyna, dziecko, które się dopuściło wykroczenia lekkiego nawet, albo które opuściła jego własna rodzina — skoro raz

tylko przekroczy wrota więzienia paryżskiego — *laiciate ogni speranza* — zgubione są na zawsze.“

To też autor powstaje gwałtownie na to pomieszczenie, które się dziś dzieje w więzieniach, z naciśnięciem wymaga klasyfikacji i odosobnienia i przemawia wymownie za potrzebą prędkiej i skutecznej reformy więzień. Ale czy głos ten nie jest głosem wołającego na puszczy?

Zatrzymuję się tu, bo cokolwiek napiszę, studium moje tej książki, krótkie i pobieżne, będzie i zostanie powierzchownem — tembardziej, że ten sędzia — jest to zarazem mistrz słowa. Niech to wystarczy przynajmniej, aby dać wam wyobrażenie o wartości dzieła, które tak pięknie i tak szczerze prowadzi nas do poznania gorzkiej, to prawda, ale pocieszającej strony złego, — bo p. Guillot obok choroby, wskazuje zawsze lekarstwo i wierzyć nie przestaje w postęp. Na każdej karcie tej książki autor zapisał z uwielbieniem szacunek swój dla Sióstr, służących przy więzieniach, i dla stowarzyszeń pomocy i ochrony dzieci.

Nie mam dość słów dla oddania należytej pochwały człowiekowi, który nam daje tę pociechę wzmacniającą duszę. Widzieć go po tylu latach, przeżytych wśród przewrotności ludzkiej, wierząc dla dawnych ideałów — wierząc głęboko i pełnym nadziei...

U nas, gdzie pomimo tylu rozbitych złudzeń — Francya i Paryż mają dla tylu jeszcze ludzi znaczenie odurzające jakiegoś raj z ziemskiego — uważne przeczytanie książki może być tym cudownym *Colyrem* — co goi oczy i daje jaśniejszy i prawdziwszy pogląd na ten świat daleki i na jego rzeczywistą postać.

Nie zapomnieliście zapewne, jak Alfons Daudet, protestując przeciw wszelkim zachciankom akademickich godności — napisał potem i wydał swego „Nieśmiertelnego“. Myślałem, że nieodręczy będzie przesłać wam list tegoż Daudet'a, pisany do jednego z tutejszych krytyków literackich, przy poleceniu mu wydanej świeżo pracy ks. Fabre'a, coś jakby historyi tej Akademii.

„Kochany przyjacielu!.. poszukaj w ostatniej kupie książek, a znajdziesz wydaną u Perrina grubą płową książkę: *Etudes sur le XVII Siècle, Chapelin i nasze dwie pierwsze akademie*. Jest to dzieło mego krewniaka ks. A. Fabre'a, proboszcza od lat dziewiętnastu w Champigny; autor jest typem literata i filozofa Chrześcijanina. Bardzo słusznie nagrodziła go akademie. I czy spostrzegasz tę ironię, iż ten człowiek jest moim krewniakiem, moim, którego uważają za „Akademiklastę“ i że to ja, którego ci chwale i polecam do twego przyszłego przeglądu. O, dziwny losie rzeczy ludzkich!“

„Alfons Daudet“.

Tak-to zawsze bywa na świecie, jak powiada przysłowie: *przysjdzie kosa do woza*. Daudet zresztą, protestując ongi, musiał myśleć w duchu — „E, verba volant“. Zapewne — ale *Scripta manent*.

W Pałacu Przemysłowym na Polach Elizejskich, w Niedzielę 23 Lutego otwartą została do-rocza wystawa Stowarzyszenia kobiet artystek, znanego pod nazwiskiem: *L'Union des femmes Peintres et Sculpteurs*. W Sobotę prezydent Rzeczypospolitej i pani Carnot — zwiedzali tę wystawę, gorącym słowem zachęty dziękując stowarzyszeniu za świetne spełnienie pięknego zamiaru. Są to, zapewne, szablonowe i oficjalne komplimenta; przyznać jednak należy, że stowarzyszenie i składający je członkami zasługują w każdej mierze na uznanie. Wystawa z każdym rokiem zaznacza postęp prawdziwy.

Jest to 9-ta z porządku wystawa tego Stowarzyszenia kobiet, założonego w 1881 r. przez panią Leonową Bertaux, która i dotąd pozostała jego *wieczystą prezydentką*.

Wystawa tegoroczna liczy pokaźną liczbę 728 numerów malarstwa i 17 numerów rzeźbiarstwa. Spotykamy tu przeważnie pejzaże i kwiaty, mało bardzo portretów, a jeszcze mniej obrazów rodzajowych i historycznych. Kwiaty — to prawdziwe królestwo kobiety malarza: jej obraz i jej pieśnosc. Pędzel kobiety zaleca się tu coraz to bliższem zespoleniem z naturą. Są takie oka-

zy, które, jak winogrona zeuxisowe, chciałby człowiek dziubać!

Na tegorocznej wystawie należy zaznaczyć nieobecność najlepszych artystek — a między nimi najpierwszej, pani Magdaleny Lemerre, sławnej akwerellistki, nieznanej w malowaniu kwiatów. Za to mamy tu trzy Polki... Na czele, jak zawsze, panna Anna Bilińska. Doskonały szkic portretu młodego chłopca, w ubiorze majtka — i studium zachodu słońca, widok rzucony pomistrzowsku, widocznie z natury. Wpółród rozdołu lesistych wzgórz, daleko, daleko, widać na niebie różowe ostatnie blaski zaszłego słońca... Prosty to i niewyszukany obrazek — ale bardzo wdzięczny.

Popiersie, rysowane czarnym ołówkiem, młodej kobiety, z ubrania wyglądającej jak młody mężczyzna — jest to dzieło pani Andriolli, która do nazwiska swego dodała *de Tarnowski*, co Francuzi przekreśli na „Tarnowskich”. Przez nazwisko swej autorki rysunek ten przypomina nam ulubionego artystę ilustratora; ale samo dzieło jakże dalekie od jego wytwornego talentu! Jest jeszcze na wystawie i medalion tej samej artystki.

Trzecią Polką, przynajmniej z nazwiska, jest panna Tolla Certowicz. Wiele talentu i usposobienia do najtrudniejszej sztuki, do *rzeźbiarstwa*. Te sześć okazów dają nam nadzieję, że taka pracowitość uwieńczona zostanie powodzeniem.

W ostatniej chwili przed zamknięciem tego listu dzienniki przynoszą nam skandal sensacyjny pod tytułem: „Spuścizna wielkiego poety”. Wiktor Hugo, umierając, zostawił trzy miliony kapitału, a dochód z dzieł poety przynosi do tego rocznie mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy franków. Fortuna ta jest własnością dwóch wnucząt poety: Jerzego i Janiny — bo chociaż żyje jeszcze córka Adela Hugo, ale ta, dotknięta oddawiającą chorobą umysłową — znajduje się w zakładzie specjalnym leczniczym, a koszta jej utrzymania, chociaż bardzo starannego, nie wynoszą rocznie więcej nad dwadzieścia kilka tysięcy franków.

Wnuk Jerzy, który przyszedł do pełnoletności dopiero w Sierpniu zeszłego roku, był, równie jak siostra, pod opieką matki — zaślubionej *secundo voto* panu Lockroy.

Pokazuje się dziś, że młody Jerzy Hugo, jako prawdziwy syn tego końca wieku, zaczął się puszcząć na zdradliwe fale życia paryżkiego, dobrze przed *examenem maturitatis*. I tu kobiety — które wielki dziadek opiewał, zajęły obszerne pole w życiu młodzieńca i otworzyły tę odwieczną przepaść bezdenną, w której tylu młodych szaleńców, pograżyło fortunę, zawsze — a czasem zdrowie, i życie nawet. Młody Hugo, zapomocą gotowych na to lichwiarzy, roztrwoniwszy *dwukroć czterdzieści tysięcy franków*, gdy przyszedł do pełnoletności, zatrzymał się — co dowodzi, że odziedziczył po dziadku przynajmniej talent rachunkowości — i odmówił zapłaty wexli wystawionych szalbiarzom.

Ztąd proces — i rozgłos, o dosyć komicznych scenach, młodego sowizdrzała. Pokazuje się teraz, że p. Jerzy znał zblizka młodą i miłą kobietę, która, chcąc mu ułatwić sposób dostania pieniędzy, wskazała na ten cel swego *krawca dla dam*, nazwiskiem Pasquier. Ten Pasquier odesłał go do swego przyjaciela Aubain, przedsiębiorcy malarstwa, który-to Aubain po długich ciąganiach wypłacił młodemu Hugo na ręce pocziwego Pasquier'a, osmdziesiąt tysięcy franków — a na resztującą wartość 160.000 franków, oddał mu do eksploatacji jakieś — *kamieniołomy!* Dodajmy, że z tej summy 80.000 fr. Pasquier zatrzymał zaraz dla siebie 35.000 fr. jako cenę sobolowego stroju dla pani X!..

Jednem słowem: komedia paryżka — przechodząca stare tradycje balzakowskiego Gobecka.

Z bieżącej chwili.

— **Z Petersburga** donoszą, że projekt poparcia drobnego przemysłu został przedstawiony Radzie Państwa. Zamierzonym jest zakładania drobnych banków prowincjonalnych, któreby wspierały drobnych przemysłowców wiejskich.

— **Wystawa rzemieślnicza** liczy 180 wystawców. Zajmuje górne piętro Muzeum Przemysłowego i tylko dział pedagogiczny mieści się w salach dolnych.

— **Warszaw. Towarzystwo Dobroczynności** postanowiło tak rozszerzyć zakład chłopców sierot, znajdujący się w gmachu po-dominikańskim, aby mógł pomieścić stu wychowalców. Publiczność pośpieszyła tu z poparciem takim, że prezes Komitetu, ks. Michał Radziwiłł, otrzymał na rzecz zakładu w przeciągu jednej doby 1.000 rs. Ofiary składane być mogą w tensam sposób na ręce prezesa.

— **Warszawskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych** otrzymało przez komitet swój wezwanie z Pragi czeskiej, proszące, aby zachęcał artystów naszych do wzięcia udziału w wystawie, mającej się tam otworzyć w początkach Kwietnia.

— **Wszechświat** nabyty został od spadkobierców ś. p. Dziewulskiego przez prof. Ant. Ślósarskiego.

— **Nowy obraz** wyszedł z pod pendzla Juliusza Kossaka. Jest to akwerella przedstawiająca jeźdźca na pysznym rumaku. Przedmiot wzięty jest z wiersza Pola: — „Jedzie pan Zaklika, srokacz pod nim bryka... Pan Zaklika z Wojsłanic gnał Tatary do granic”.

— **Bezpłatna czytelnia** w Radomiu założona staraniem p. Karola Hoffmana, liczy tylu czytelników, że rzecz zainteresowała inne miasta prowincjonalne. W Kaliszu i Suwałkach postanowiono urządzenie podobnych czytelni i zwrócono się do Radomia, prosząc o wskazówki.

— **Berlińskie pismo:** „Illustrirte Frauen Zeitung” zamieściło obszerny artykuł o wyrobach szkoły snycerskiej w Zakopanem. Piękne ryciny przedstawiają sprzęty domowe charakterystycznego stylu: szafeczki, łóżka, gotowalnie, przyczem zwrócono uwagę na ornamentykę ludowych motywów naszych, wnoszącą zupełnie nowy i oryginalny żywioł w dziedzinę przemysłu artystycznego. Autor określa wyrazistość charakterystyki stylu, wyróżniającego się wybitnie od pokrewnych mu i dodaje, że pisać będzie w dalszym ciągu o koronkach, tkaninach tamtejszych i wogóle galicyjskich które również przez zupełnie oryginalne motywa artystyczne i stylowe ubogacają skarbnice powszechnego arcyzmu. Pismo angielskie: *The Queen* podało ryciny sprzętów, wyrobu z Zakopanego.

— **Powszechna wystawa amerykańska**, projektowana na rok 1892, odbędzie się w Nowym

Yorku, a nie w Filadelfii, jak radzono pierwszej. Zapewni to wystawie większy udział Europy.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** ma honor uprzedzić pp. artystów, iż według obowiązującego regulaminu, dzieła sztuki nadsyłane na Wystawę Towarzystwa odbiera i z odbioru kwituje kustosz Wystawy codziennie od godz. 10 z rana do 4 po południu z wyjątkiem niedziel i świąt. O wszelkich uszkodzeniach, spostrzeżonych przy odbiorze dzieł przysyłanych na Wystawę, kustosz bezwzględnie zawiadamia artystę. Kwalifikowaniem dzieł do umieszczenia na Wystawie zajmuje się Komitet Towarzystwa i w tym celu członkowie zbierają się na każdą sobotę, lub w razie przypaść mogącego na ten dzień święta, w piątek, w godzinach południowych. Po zakwalifikowaniu dzieła i dopełnieniu formalności cenzury rządowej, Gospodarz Wystawy, delegowany z grona Członków Komitetu, zarządza natychmiast wystawienie dzieła i wyznacza odpowiednie miejsce. Gospodarzowi Wystawy przysługuje prawo dzieło wystawione przewieszać lub przedstawiać według przez siebie uznanej potrzeby. Dzieła przysłane do Towarzystwa, po wydaniu pokwitowania z odbioru przez kustosa Wystawy, nie mogą być przed rozpatrzeniem przez Komitet zwrócone na żądanie właściciela bez zezwolenia Vice-Prezesa Towarzystwa lub Gospodarza Wystawy. Dzieła nieprzyjęte na Wystawę lub wycofane z niej, winny być odbierane z lokalu Towarzystwa zaraz po otrzymaniu o tem zawiadomienia od kustosa; inaczej bowiem pozostawać będą na składzie, a w takim razie Komitet nie może przyjmować odpowiedzialności za ich całość.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: Święci dni ostatnich, przez M. Ilnicką. — **Drugie pokolenie.** Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicz. — **Przedstawienia trupy ruskiej na scenie teatru wielkiego.** — **Kto się lubi, ten się czubi,** przysłowie dramatyczne w 1-ej odsłonie, napisał J. Morosz. — **Przeegląd teatralny,** przez Stanisława Krzemińskiego. — **Nowiny Paryżkie.** — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — **Przeegląd mód.** — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**



Nr 1. Okrycie wiosenne.

Przegląd mód.

Ubrania dzieciinne: co dzieci noszą, jak je ubierać należy — pierwszy magazyn ubiorów dzieciennych pani Pawlik, Trębacka róg Nowo-Senatorskiej.

Zapewne moda angielska wprowadziła dziś wszędzie dla chłopców kostium marynarski, bo w Anglii każdy, kto niema innego stanowiska jest marynarzem — przeważnie mówię tu o dorastających chłopakach ludu.



Nr 2. Żakietek strojny.

Tych kostiumów dzieciennych jest kilka rodzaj — i tak: jedne robią się z bawełnianego materiału lub nicianego, zwanego nankin, w białe lub niebieskie paski, z krótkimi majtkami, a bardzo bufiastą koszulą. Inne tej samej formy mają majtki i koszulę z flanelki niebieskiej. Inny znów rodzaj angielski dla małych chłopców do 6 lat jest bluzka prawie gładka — prawie obcisła, przepięta szerokim paskiem żółtym skórzanym, kurtka, tak jak i majtki również krótkie, tak, iż widać prawie gołe kolana małego obywatela — na chłodne dnię zarzucają na plecy paltociki z pelerynką. Do tego rodzaju ubrania długie włosy w loki zwinięte spadają na ramiona, a duży kapeluszu rzucony na tył głowy. Najzabawniejsi są chłopcy cztero lub pięcio letni w długich majtkach z białego perkalu i małej kurtce z granatowego sukna o dwóch rzędach metalowych guzików, z pod której wychodzi biała koszula, otwarta, wydekoltowana, z dużym płóciennym kołnierzem, — z lewego boku na piersiach w kieszeni świstawka srebrna z urzędu, zawieszona na czarnym sznurku. Duży kapeluszu gruby słomiany, opasany czarną wstążką z nazwą okrętu, do którego należy, jest obowiązującym ubraniem głowy.

Dziewczynki ubierają w najrozmaitszy sposób — biorąc prawie zawsze myśl z tualet dorosłych panien. Co dobrze przypada do dziecięcej tualety, to sukienka ogarniowana kilkoma plisowanymi falbankami, pokrywającymi całą spódniczkę. Sukienki w kratę szkocką, szczególnie ponsową z czarnem, stanik formy bluzki, zmarszczony w górze z paskiem jedwabnym czarnym, zapiętym na duże „chou“ — tuff okrągły w tyle bardzo ładnym są ubraniem. Dla starszych panienek żakietki krótkie z bufiastą bluzką są zawsze modne. Sukienki robią się na chłodną wiosnę z tartanu lub nawet aksamitu w drobną kratkę z dwóch cieni jednego koloru. Sliczną odmianę tego angielskiego aksamitu widzieliśmy u pana Makowskiego na kolorze popielatego żelaza, przechodzące cieniutkie nitki czarne, stanowiąc drobnusieńką kratkę.

W pierwszej pracowni ubiorów dzieciennych w Warszawie oglądaliśmy właśnie śliczne nowe modele ubiorów dzieciennych, a gdy mowa o magazynie dzieciennym, to już naturalnie, że o pani Pawlik, ulica Trębacka. Zdziwiałem jest to rzeczywiście, że w mieście, gdzie tak stroją dzieci (sic), tak mało mamy dobrych składów tych rzeczy. Chcę przypuszczać, że mamy za pomocą naszych wzorów w Bluszczu podanych, same szyją te piękne sukienki, które w ogrodzie spotykamy.

Modele i fasony pani Pawlik są śliczne — oglądaliśmy tam wiele rzeczy zupełnie nowych — dla chłopczyków do lat czterech robią się teraz majtki obszerne i żakietek do kolan z falbaną plisowaną, zapięty na jeden lub dwa rzędy guzików, zastępujący dawniejsze sukienki, w których tyle lat nie można było rozróżnić dziewczynki od chłopczyka. Dla starszych tak jak w Paryżu tak i u nas, głównie się robią marynarskie w rozmaitych odmianach — po części zawsze granatowe — strojnieszkie zdobią kremowym kołnierzem i wyłogami takimiż. Dla dziewczynek od najmłodszych lat pokazywano nam śliczną sukienkę różową, czyli na różowym atłasie całą z hafcików i wszywek z szarfą — był to istny cukiereczek dla dwuletniej dziewczynki, a jeszcze tak niedawno ludziliśmy się, że u nas tych ładnych rzeczy niema i za byle okazją kupowaliśmy je za granicą za droższe niezawodnie pieniądze. Dla starszych dziewczynek fason angielski — bluzka marszczona w górze, do której przyszyta odpowiedniej długości falbana czyli spódniczka są najpraktyczniejsze. Minęły już te czasy, kiedy matki siły się ubierać dzieci przesadnie naśladować ubranie starszych — dziś liczy się to do staroświeczyzny i do śmieszności. A jakie śliczne paltociki wiosenne nam pokazywano! trzeba iść zobaczyć, aby się przekonać o prawdzie słów moich.

L. C.

Zab do roboty koszyków i t. p. (Robota wiązana).

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 11.

Zab wykonany robotą wiązaną z nici „macramé“ lub ze sznureczka jedwabnego, służyć może do ozdoby pojedynczo, lub też wykonany w przedłużeniu do ozdoby koszyków, kominków i t. p. Na jeden zab należy przygotować 24 końce mniej więcej $2\frac{1}{2}$ metra długie, każde 2 złożone przez połowę związać u góry supełek i umocować szpilkę do poduszki, używanej do robót wiązanych w odstępach 1 centim. — 1 kolej: Podwójną nitkę przeciągnąć poniżej supełka z lewej strony ku prawej i każdym końcem jeden po drugim wykonać 2 dziergane ścięgi. — 2 kolej: (Wszystkie końce pozostaną w porządku w jakim się znajdują) 6 razy następnymi 8 końcami 1 łańcuszkowy supełek, na który przerobić razem 1 do 4 oraz 5 do 8 koń. ostatnim wykonać 1 ścięg dziergany w pierwszy, a potem temże 1 ścięg dzier. 5 do 8 końca. — 3 kolej: 3 razy następ. 16 koń. 1 podwój. sup., pierwsze i ostatnie 6 końców, każdy razem, środkowe zaś 4 służyć mają jako podkład. — 4 kolej jak 2. — 5 kolej jak 1. — 6 kolej: * dwa razy na przemian 1 z następ. 16 koń. przełożyć przez 2 do 8 i temież jeden po drugim wykonać 2 dzier. ścię. w pierwszy, następ. 9 do 16 także same supeł. figury w odmiennym kie-



Nr 3. Żakietek w rodzaju mantylki.

runku. Od * jeszcze 2 razy powtórzyć. — 7 kolej: * 1 i 4 z następ. 16 koń., każde 2 razem przerabiając, 6 łań. supeł. 13 do 16 także sam rząd supeł., 5 do 12 7 podwój. supeł., na które pierwsze i ostatnie 3 wiążą się razem, środkowe zaś 2 służyć jako podkład. Przeciagnąć te 8 końców na 1 muszkę powyżej podwój. supeł. w sposób, ażeby pierwsze 4 podw. supeł. uwidatniały musz. a ostatnie 3 poniżej były widoczne, od * jeszcze dwa razy powtórzyć. — 8 kolej jak kolej 1, ale do-



Nr 4. Mantylka.

powiednio do rozpoczętego deseni. —9 kolej: 6 razy następ. 8 koń. 1 podw. sup. (8 koń. wykonywać ciągle podw. sup. jak było opisane w 7 kolej), * 5 razy ostatnim z 4 i 1 z 4 następ. przed tem wykonanych 6 podw. sup., każdym 1 podw. sup.; od * jeszcze 4 razy powtórzyć, lecz przy każdym powtórzeniu wykonywać o 1 podw. sup. mniej. —10 kolej: 6 razy na każdą muszkę następ. 8 koń. 4 podw. sup., potem te 8 koń. przeciągnąć powyżej 4 podw. sup. z wierzchu na spód przez 2 środkowe tych 8 koń., którymi wykonano 4 podw. sup., poczem ostatnimi 4 koń. 3-ej musz. a 4 pierwszemi koń. 4-ej musz. taką samą musz., na którą wykonać 5 podw. sup. —11 kolej: W odstęp 2 c. ostat. 4 koń. 1-ej musz. a pierwszemi 4 koń. 2-ej 1 podw. sup. Ostat. 4 koń. 2-ej musz. i pierwszemi 4 koń. 3-ej musz. w odstęp 2 c. 1 podw. sup., ostatnimi 4 koń. poprzedniego podw. sup. i pierwszemi 4 koń. środkowej musz. 1 podw. sup., poczem w odstęp 2 c. 4 koń. 4-ej musz. i pierwszemi 4 koń. 5-ej musz. 1 podw. sup., poczem w odstęp 2 c. ostat. 4 koń. 5-ej musz. i pierwszemi 4 koń. 6 musz. 1 podw. sup., potem pierwsze 4 koń. poprzedniego podw. sup. i ostatnimi 4 koń. środkowej musz. 1 podw. sup., poczem w 2 c. odstepu ostat. 4 koń. 3-go podw. sup. teje kolej i pierwszemi 4 koń. ostatnio wykonanego podw. sup. 1 podw. sup. —12 kolej: W dwóch c. odstepu następ. 8 koń. z 48 poniżej następ. podw. sup. 1 podw. sup. i pierwsze i ostatnie 4 z tych 8 koń. razem przerobić pod spodem 2 łań. sup., poczem te 8 koń. przez 2-gą musz. przeciągnąć, potem temiz 8 koń. 2 łań. sup. jak poprzednio, potem te same 8 koń. przez 3 musz., oraz ostatnie 4 z 8 koń. przez środk. musz. przeciągnąć, poczem ost. 8 z 48 koń. takiz sam rząd sup. jak poprzedni w odmiennym kierunku. Potem w dwóch c. odstepu 9 do 12 koń. i w odstepie 1 c. 13 do 16 1 podw. sup., każde 4 z tych 8 koń. razem przerabiać, pod spodem 4 łań. sup. 17 do 20 koń. pierwszym z 4 przez 3 musz. przeciągniętych 8 koń. razem przerabiając 2½ łań.

Nr. 6. Kapelusz z tiulu.

Czepeczek z koronki wstążki

Nr. 9. Stanik z pasmanteryjną jedwabnego (op. pierw.

Nr. 10. Kołnierza jedwabnego

Nr. 11—16. Kapelusze letnie bez ubrania.

sup. — 33 do 40 takiz sam rząd supelków, jak wykonany 9 do 16 koń., poczem 29 do 32, jak ostat. 4 przez 4-gą muszkę przeciągnięte 2½ łań. sup. Nakoniec, zebrać końce wystające razem przewiązać kwast i obciąć równo nitki.

Serwetka na stół z tacą. Haft płaski i robota szydełkowa.

Rycina Nr 25, 26 i 29.

Serweta wykonana na materyale płóciennym niebielonym z przędzy pokrzywianej, 70 cent. dług. a 80 szer., w dolnym brzegu otoczona szlakiem 24 c. szer. i otoczona oprócz górnego brzegu koronką wykonaną szydełkiem. Szlak składa się z 3 części razem połączonych, z których środkowa część z galonu tyrolskiego, dwie zaś boczne wykonane na tkaninie kongres z wrobionym przezroczystym deseniem, i jak wskazuje ryc. Nr 25 ozdobione ściąganiem płaskim, bawełną szarą i ściąganiem Holbeina bawełną ponsową. Rycina ta przedstawia deseni w naturalnej wielkości. Co do koronki, której wzór podaje ryc. Nr 26, wykonać szarą bawełną na założeniu 23 o. tam i na powrót jak następuje: 1 kolej: 7 o. opuścić, * 1 podw. sł., którego dolną żyłkę najprzód przerob. w następ. o., 1 sł., którego górną żyłkę przerob. w 2 z rzędu o., 1 sł., którego górną żyłkę przerob. z poprzednim sł. i z następną żyłką podwój. sł. w 2 z rzędu o., potem górne żyłki podw. sł. przerobić, 2 razy na przemian: 1 pow. o., 1 sł. w środkową żyłkę poprz. podwój. sł. i jednocześnie w górną żyłkę następ. 2 sł., od * jeszcze 2 razy powtórzyć, potem 1 podw. sł. w następ. o. — 2

Nr. 25. Suknia z aksamitu i materyału „armure“ (opis odwr. str. tabl.)

Nr. 23. Suknia z kaszmiru i aksamitu (op. pierw. str. tabl.)

Nr. 24. Kaftanik z aksamitu gładkiego i w deseni (op. pierw. str. tabl.)

Żakiecik strojny.

Rycina Nr 2.

Żakiecik z materyału czarnego jedwabnego „sicilienne“ w grube prążki. Części boczne ścięte kwadratowo, przednia zaś część ozdobiona wylogami z materyału jedwabnego „broché“ w wyciskany aksamitny deseni otwiera się na kamizelce. Rękawy z broché ozdobione wylogami z „sicilienne“y. Kamizelka również z materyału gładkiego, obszyta pasem brokatu. Kołnierz odpowiednio.

Żakiecik w rodzaju mantylki.

Rycina Nr 3.

Żakiecik z materyału czarnego jedwabnego „fille française“ ozdobiony pasmanterią złotą. Część przednia otwiera się na przedłużonych połach z materyału czarnego jedwabnego „broché“. Napiersnik z atlasu czarnego fałdowanego. Rękawy z broché ozdobione riusz z czarnego atlasu. Pas atlasowy czarny związany na połach i kokardy odpowiednio wykończają całość.

Mantylka.

Rycina Nr 4.

Mantylka z materyału jedwabnego czarnego „broché“. Tylne części ułożone w dwie głębokie fałdy. Bogaty haft złoty i frendzla pasmanteryjna z perełkami, wykończają całość. Części przednie ułożone w dwie fałdy od wycięcia szyi. Rękawy w rodzaju pelerynki, ścięte kanciasto w dolnej części.

Nr. 17—22. Kapelusze letnie bez ubrania.

kolej: 5 pow. o., 1 o. opuścić, * 1 podwój. sł., którego górną żyłkę najprzód przerob. w następ. o., 1 sł., którego górną żyłkę tylko przerob. w 2 z rzędu o., 1 sł., którego górną żyłkę przerobić z poprzed. sł. i z następ. żyłką podw. sł. w 2 z rzędu o., górne żyłki podw. sł. przerob., 2 razy na przemian: 1 pow. o., 1 sł. w środkową żyłkę poprzedniego podw. sł. i jednocześnie w górne żył. następ. 2 sł.; od * jeszcze 2 razy powtórzyć, potem 5 pow. o., 7 sł. przedzielonych 1 pow. o. w opuszczone 7 o. założenia. — 3 kolej: 7 razy na przemian: 3 pow. o., 1 ści. o. w o. pow., znajdujące się nad następ. sł., potem 3 pow. o., 1 ści. o. w następ. sł., 7 pow. o., poczem jak kolej 1, od * powtórzyć, zwracając uwagę na deseni. Powtarzać ciągle 2 i 3 kolej, ale przy każdym powtórzeniu 7 sł. przedzielonych 1 pow. o. przerabiać w 7 o. poprzedniej kolei, a potem jeszcze 1 pow. o., 1 ści. o. w o. po 3 pow. o. następujące.

Okrycie wiosenne.

Rycina Nr 1.

Okrycie z materyału czarnego jedwabnego „gros de Lyon“ w tylnej części krótkie z długimi zaś końcami z przodu. Wyłożenia z materyału jedwabnego „broché“ w tymże kolorze. Kołnierz wykładany z „broché“. Rękawy szerokie wzniesione wysoko na ramionach i ozdobione wylogami z „broché“.

Nr. 26. Suknia z kaszmiru i aksamitu (opis odwr. str. tabl.)



Nr 27. Suknia z kaszmiru i aksamitu (op. odwr. str. tabl.).

Przepisy gospodarskie.

O sadzeniu i wylęgu kur.

Nie należy kur sadzać na jajach przed początkiem marca, ani też po pierwszym czerwcu. Jaja biorą się od najlepszego gatunku ptactwa. Zniesione a przeznaczone do wylęgu trzeba jak najprędzej wydobywać z gniazda, aby nie dopuścić ogrzania, w przeciwnym razie pisklęta nie jednocześnie wylęgają się. Na wydobytych jajach zanotować datę, bo najwyżej czternastodniowe mogą być użyte do wylęgu. Starsze wylęgają się także, ale nie wszystkie. Kura przeznaczona do siedzenia musi być należycie ob-



Nr 30—35. Parasole i laski do parasoli.

mytą, inaczej pisklęta uduszą się, i nie powinna być młodszą nad rok. Do gniazda włożyć warstwę siana lub trawy pogniecionej,—gdyby podczas wysiadywania jajko się stłukło, należy letnią wodą ostrożnie obmyć. Po przeciągu sześciu dni należy jajka obejrzeć czy są zapłodnione — te które pozostały przezroczyste można jeszcze w kuchni spożytkować. Gniazdo umieścić w miejscu cichem, zabezpieczonem od innych zwierząt. Brzeg gniazda nie powinien być wysoki, aby kura wskakując nie potłukła jajek. Wody i ziarna nie stawiać bardzo blisko, ażeby zmusić kurę do wydalenia się nieco od gniazda. Wodę często zmieniać, a jako ziarno, służy doskonale kukurydza, którą się kura prędko nasyci. Piasek lub mialka ziemia jest do życzenia w bliskości, posypywanie zaś proszkiem perskim zabezpiecza od tworzenia się robactwa. Na 19-y dzień należy gniazdo oczyścić i podesłać świeżem sianem, lub lepiej trawą zgniecioną. Wszystkie zajęcia przy gnieździe załatwiać, gdy kura się karmi. Dobre kury zwykle o jeden dzień wcześniej wylęgają kurczęta, niedbale zaś o 2 dni później.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z makaronem.
2. Paszteciki z ryb.
3. Sztukamięsa biała z ogórkami.
4. Sandacz z pieczarkowym sosem.
4. Cielęcina z biszamelem.
6. Krem „brüllé.”



Nr 29. Płaszcz wiosenny (do ryc. Nr 6 i 25 w Bl. Nr 13). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 33—44.



Nr 28. Suknia z materyału wełnianego i aksamitu. (Op. odwr. str. tabl.).

KORESPONDENCYA.

Odp. p. Zofii M. w Radomiu.

Okrycie wysłane będzie 20 Marca.

Opisanie rycin: Nr. 5, 6, 7, 8, 10 i 30—40 w przyszłym numerze.

UWAGA

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze służy też do numeru 13.



Nr 36—40. Parasole i laski do parasoli